

WYWIADY POLSKI.

Nr. 13.

PRENUMERATA we LWOWIE

Rocznie 14 zlr. półrocznie 7 zlr. kwartalnie 3 zlr. 50 cnt.

PRENUMERATA na PROWINCJI:

We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zlr.

60 cnt. półrocznie 8 zlr. 80 cnt. kwartalnie 4 zlr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

KSIĘGARNIA POLSKA.

L. 14 plac halleki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni

J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA

w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.

We Francji, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

POWIEŚCIOPISARSTWIE.

Jakkolwiek bardzo wielu z tak zwanych „wykształconych“ ludzi, mężczyzn, kobiet i wyrostków zajmuje się pisaniem nowel i powieści, jednakże faktem jest, że z rozsądniejszych i rozumniejszych mało się tego rodzaju rozrywce oddaje, a jeszcze rzadziej pozwala tworom swej fantazji dostać się do publiczności. Popatrzmy na kółko naszych znajomych. Nie myślimy tu naturalnie o pisarzach stojących na świeczniku. Zwykle piszą powieści nie ci, którzy się odznaczają humorem, świetnością opowiadania, dowcipem lub zajmującym przedstawieniem rzeczy. Ci, którzy się zdają posiadać wszelkie warunki dające powodzenie romansopisarzowi, zwykle nie piszą romansów. Styl — posiadają prawdopodobnie, a to rzecz najtrudniejsza do znalezienia, szczególnie w naszym powieściopisarstwie. Posiadają humor, posiadają znajomość życia, a jednak milczą, a powodzenie u publiczności posiadają ludzie, często zupełnie niepokazni. Dalej, bywają osoby, które obok wybornych zalet, których katalog podaliśmy wyżej, posiadają pyszne reminiscencje i mają nawet pociąg do wypowiedzenia, pod zasłoną fantazji, swych przekonań o stosunkach życiowych. Mimo to, powieści nie piszą. Stare panny, z śladami w pamięci bezskutecznych zapamiętanych miłości, wylewają natomiast często swe żółte myśli na papier, lecz na szczęście, zwykle w formie elegji i sonetów, popularnych do niedawna, dziś unikanych jak nieszpory przez studenta.

W ogóle wiersze, nam już nie przemawiają tak silnie, jak do ojców naszych. Powieść odpowiada więcej charakterowi „des émotions modernes“. Romans daleko dobitniej, pozytywniej, jaśniej odbija ową mieszaninę żalu i śmiechu, z którą patrzymy na naszą przeszłość z jej dziwactwami, uniesieniami, nieszczęściami i powodzeniami. Na pół rzeczywiste postacie ludzkie, wywijające się z wątku powieści silniej i wszechstronniej wstrzą-

sają umysłem, niż mgliste obrazy sonetów i ballad, choćby najmisterniej splecionych. Pozwolilibyśmy do tego przyłożyć miarę — o nie rzucajcie gromów poeci! — miarę najużywaną w naszych czasach: monetę. Wiersze się nie oplacają, nawet z najlepszych żyć nie można, powieść dobra, nawet mierna, zawsze. Niestety, u nas, w chwili obecnej jest to przyczyną, że z nielicznymi wyjątkami powieść leży w ręku ludzi, których nieznaną jest, a nawet gramatyki jest również wielką, jak śmiałość.

Śmiałość, ślepa niewiedomość trudności, jest charakterystyką tych zwykłych pisarzy. Nie wiedzą co poprzednio inni powiedzieli i nie mają pojęcia o tem, iż wcale nie są oryginalnymi. Nie obawiają się wcale używać starej maszyneryi, zasadzającej się na przejmowaniu cudzych listów, podsłuchiowaniu itp. komunałów, a tymczasem charaktery osób działających w samym zarodku opowiadania, już dostają napadów idjotyzmu. Ludzie posiadający więcej smaku i wiadomości odczuliby te braki i gdyby zaczęli pisać, to może potrafiliby ich uniknąć. Lecz gdy złączą próbować, wnet poznają trudności, wynikające z granic postawionych przyrodą naszej fantazji. Zbieracze klechd całego świata wiedzą, że od Japonji do wysp Jońskich, od Natalu do Hebrydów, jest tylko pewna ilość motywów w tych pierwotnych wysiłkach fantazji. Wyprowadzili ztąd najrozmaitsze wnioski, lecz najważniejszym jest ten, że jakkolwiek rozmaite i różnorodne są stosunki między ludźmi, istnieją jednak granice siły wyobraźni, łączącej je i układającej w całość, w fantazji. Nie idąc nawet tak daleko, aż do porównawczej mitologii, najbardziej „wykształcony“ po napisaniu połowy powieści, znajdzie, iż treść jest zupełnie taka jak w której powieści Kraszewskiego, Dickensa, lub któregośkolwiek z tych, którzy wiele pisali. I już ochota do dalszej roboty stracona. Lecz ta trudność uniknięcia braku oryginalności, nie jest jeszcze główną. Kto próbował pisać, ten wie jak trudno uniknąć absurdów, które jak powódź cisną się wszelkimi szparami. Jestto przekleństwo rzeczy-

wistości nad fantazją. Figury wytworzone w wyobraźni przy spotkaniu się z sobą wyrzucają na jaw wszelkie fałszy. Piszący znajduje się ciągle nad przepaścią pełną nonsensów i ciągle iść musi brzegiem balansując pomiędzy życiem a głupstwem. Trzeba mieć wielką przytomność umysłu, nie być skłonny do zawrotu głowy, żeby nie upaść. A jakże mało jest takich na ziemi! Trzeba być Endymionem, żeby Dyanna złożyła na ustach pocałunek.

Życie, jest w samej rzeczy podobne do snu. Jego ewolucje idą naprzód w sposób zajmujący, aż do chwili, w których jakaś mała, niezaczyna dywersja zatrzyma cały ruch i zwróci go w innym kierunku, nie prowadzi do żadnej katastrofy, do żadnego rozwiązania, lecz zwykle do dalszych stosunków zwykłych, codziennych, powszednich. Jak we śnie, ludzie tracą powoli w rzeczywistości główną nić intrygi, charaktery znikają i wchodzą w inne kombinacje. Powieściopisarz powinien przeciwdziałać tym rzeczywistym kolejom żywota. Tu jest miara jego talentu. Łączyć rzeczy, które w życiu nie złączyły się, rozwiązywać wiążące się; łączyć z sobą ludzi, którzy w życiu byli daleko od siebie; jednym słowem odgradzić od reszty to, co mu potrzeba magicznym kołem, przez które nikt niepotrzebny dostać się nie może. Jeżeliby powieści były tylko fotografiami z życia, to każda z nich byłaby nieskończonym fragmentem z historii procesji, która wiecznie na powierzchni naszej ziemi się odbywa nigdy nie dochodząc do końca. Smak jednak ogólny żąda mniej epicznego traktowania i chce aby było dobre, jasne zakończenie a tylko w bardzo niewielu wypadkach jest zadowolony, gdy historia „głupio się kończy“. Otóż tu jeszcze nowy przyrósł trudności. Trzeba przedstawić życie, odmalować jego niezupełność, niezakończoność i zadowolić przytem smak publiczności. Wieleż powieści, które się obecnie u nas pojawiają, są dziełami sztuki, pisanymi bez zwracania uwagi na hałas powszechny? Wieleż z nich jest prawdziwym obrazem miłości, stosunków małżeńskich, śmierci, stosunków spo-

cznych, żalu nad zmarnowanym życiem? Natomiast powieściopisarz zapuszcza swą rękę, jakby do sakiewki z numerami loteryjnymi. Wyciągnie parę numerów umizgów miłosnych, dwa przejęte przez kochanków zdradzonych listy, jedną warjatkę, jedną pocziwą ciotkę i kilka bieżących wiadomości i z tego tworzy się powieść! To są jego farby i portrety. Z nich układa i maluje obraz, będący tem w szeregu powieści, czem komunał w poezji. Tworzy się coś mętnego, mglistego i codziennego. Już mamy dosyć owych biednych i uczciwych dziewcząt wychodzących po długich perturbacjach za bogatych książąt, a co najmniej hrabiów, mamy dosyć suchotników, złych ludzi kasanych przez wściekłych psów, nieboszczyków domniemanych, którzy się w le-targu znajdowali i t. p.

A przytem, ten kto się poświęca pisaniu powieści, poświęca się tem samem pracy bez wytchnienia. Jest to więc obowiązek ciężki, uciążliwy i przytępiający. Mimowoli zapytać się przychodzi nieraz, widząc jak powieściopisarzom kartki jeszcze mokre od pisania zanoszą do drukarni, czy to jest sztuka, czy rzemiosło?

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

X.

(Dokończenie).

Następnie do pokoju wszystkimi drzwiami poczęła się cisnąć służba; krzyki, lkania i wycie, któremu przywodził Kazio, napelniały cały pokój, tylko ojciec po dawnemu siedział kamienny, nareszcie kiedy klękli wszyscy, a ksiądz począł mówić litanie i uciął, bo nie mógł od leż, ojciec porwał się nagle i ryknawszy: „O Jezu! Jezu!” rzucił się jak długi na podłogę. W tej chwili uczulem, że konce palców u rąk i nóg poczynają mi ziębnać, ogarnęła mnie dziwna jakaś senność i ziewanie. — Aha! to ja umieram! — pomyślałem sobie, i usnąłem.

Ale istotnie usnąłem zamiast umrzeć, i to usnąłem tak dobrze, że nie obudziłem się jak we dwadzieścia cztery godziny później i tak dalece wzmocniony na siłach, żem sam nie umiał zdać sobie sprawy co się ze mną zrobiło. Obojętność moja znikła, potężny młody organizm zwyciężył śmierć samą — i budził się do nowego życia, z nowymi siłami. Teraz znów działy się przy łóżku mojem takie sceny radości, że i opisywać ich nie próbuję. Kazio fiksował po prostu ze szczęścia. Opowiadano mi później, że zaraz po pojedynku, kiedy ojciec odniósł mnie rannego do domu, a doktor od razu nie ręczył za moje życie, pocziwego Kazika musieli zamknąć, bo po prostu polował na Selima jak na dzikie zwierzę i przysiągł sobie, że jeśli ja umrę, to go zastrzeli, gdzie go spotka. Szczęściem i Selim poraniony cokolwiek, musiał przez jakiś czas leżeć w łóżku.

Ale tymczasem każdy dzień przynosił mi coraz większą ulgę. Wracała mi ochota do życia. Ojciec, matka, ksiądz i Kazio, czuwali dzień i noc nad mojem łóżkiem. Jakże ja ich kochałem wtedy, jak tęskniłem, gdy które z nich choć na chwilę opuściło mój pokój.

Ale razem z życiem, poczęło i dawne uczucie dla Hani odzywać się na nowo w mem sercu. Kiedy obudziłem się z tego snu, który wszyscy za początek wiecznego snu poczytali, natychmiast spytałem o Hanię. Odpowiadał mi ojciec, że zdrowa, ale że wyjechała z panią d'Yves i siostrzyczkami do stryja, bo ospa powiększała się coraz bardziej we wsi. Mówił mi przytem, że już jej przebaczył, że zapomniał i kazał mi być spokojnym. Później jednak nieraz rozmawiałem o niej z matką, która widząc że mnie ten przedmiot nad wszystkie inne zajmuje, sama zaczynała rozmowę, a kończyła ją anielskimi, lubo niewyraźnymi słowy, że gdy wyzdrowieję, wówczas pomówi z ojcem o wielu rzeczach, które dla mnie będą bardzo przyjemne, trzeba tylko, żebym był spokojny i starał się jak najprędzej przyjść do siebie.

Mówiąc to uśmiechała się smutno, mnie zaś chciało się płakać z radości. Czasem jednak trafiało się coś takiego w domu, co mąciło mój spokój, a nawet przejmowało mnie strachem. Raz naprzykład wieczorem, gdy matka siedziała przy mnie, wszedł służący Franek i poprosił ją do panny Hanny.

Siadłem natychmiast na łóżku.

— Hania przyjechała? — spytałem.

— Nie! — odrzekła matka. — Nie przyjechała. On prosi mnie do pokoju Hani, bo tam białą i dają nowe obicia.

Czasem zdawało mi się jakby chmura ciężkiego a źle ukrywanego smutku leżała na czołach otaczających mnie osób. Nie rozumiałem nic co się dzieje, a pytania moje zbywano byle czem. Badałem Kazia, odpowiadał mi tak jak i inni, że w domu wszystko dobrze, że siostry, pani d'Yves i Hania wkrótce wrócą — i nakoniec: żebym był spokojny.

— A z kądże ten smutek? — spytałem.

— Widzisz ja ci opowiem wszystko. Oto Selim ze starym Mirzą przyjeżdżają tu codziennie. Selim po całych dniach desperuje, płacze, chce cię widzieć koniecznie, a rodzice nasi boją się, żeby ci ta wizyta nie zaszkodziła.

Uśmiechnąłem się.

— Mądry Selim! — rzekłem. — Mało mi czaszki nie rozłupał, a teraz za mną płacze. A cóż: o Hani myśli ciągle?

— Ji, gdzie jemu tam Hania w głowie. Nie wiem zresztą, nie pytałem się o to, ale myślę, że on się już jej wyrzekł zupełnie.

— To kwestja!

— W każdym razie, kto inny ją dostanie, bądź spokojny!

Tu Kazik przekrzywił twarz po studencku i dodał z miną franta:

— Wiem nawet kto. Dałby tylko Bóg, żeby...

— Żeby co?

— Żeby wróciła jak najprędzej — dodał pośpiesznie.

Słowa te uspokoiły mnie zupełnie. W parę dni potem, wieczorem ojciec siedział przy mnie wraz z matką. Zaczęliśmy z ojcem grać w szachy. Po chwili matka wyszła, zostawiwszy drzwi otwarte, przez które widać było szereg komnat, na końcu zaś owego szeregu znajdował się pokój Hani. Spojrzałem nań, ale nie mogłem nic dojrzeć, wszystkie pokoje bowiem prócz mego były nieoświetlone, drzwi zaś od pokoju Hani, o ile mogłem dopatrzeć w ciemnościach, zamknięte.

Nagle wszedł tam ktoś — jakby doktor Stanisław — i nie domknął znów drzwi za sobą.

Serce uderzyło mi niespokojnie. W pokoju Hani było światło.

Światło to wpadało jasną smugą do ciemnej sąsiedniej sali, a na tle tej jasnej smugi, zdawało mu się, żem dojrzał delikatne zwoje dymu kręcące się tak, jak kurz kręci się w świetle słonecznym.

Zwolna o powonienie moje uderzył jakiś niewyraźny zapach, który jednak z każdą sekundą stawał się coraz mocniejszy i mocniejszy. Nagle włosy zjeżyły mi się na głowie! rozpoznałem zapach jałowcu.

— Ojcie! co to jest? — zawołałem gwałtownie, zrzuciwszy szachy wraz z szachownicą na ziemię.

Ojciec zerwał się zmieszany, poczuwszy również ten przekłety zapach — i zamknął coprędzej drzwi od pokoju.

— Nic, to nic! — odpowiedział pośpiesznie.

Ale ja byłem już na nogach, a lubo chwiałem się jeszcze, jednakże posunąłem się szybko ku drzwiom.

— Dlaczego tam kadzą jałowcem? — krzyknąłem — ja tam chcę pójść!

Ojciec pochwycił mnie w pół.

— Nie pójdziesz tam! nie pójdziesz, zabraniam ci!

Ogarnęła mnie rozpacz, więc chwyciwszy za bandaże opasujące mi głowę, krzyknąłem z uniesieniem:

— A więc dobrze! Ale przysięgam, że zerwę te bandaże i rozdrapię ranę własnymi rękoma. Hania umarła! ja ją chcę widzieć.

— Hania nie umarła, daję ci słowo! — wołał ojciec uchwyciwszy mnie za ręce i pasując się ze mną. — Zachorowała, ale zdrowsza! Uspokój się! uspokój! Czy nie dość jeszcze nieszczęść! opowiem ci wszystko, ale połóż się. Iść do niej nie możesz. Zgubiłbyś ją. Uspokój się! połóż się. Przysięgam ci, że już zdrowsza.

Sily mnie opuściły i upadłem na łóżko, powtarzając tylko:

— Mój Boże! mój Boże!

— Henryku! przyjdź do siebie, Czyś ty kobieta? Bądź mężczyzną. Ona już nie jest w niebezpieczeństwie. Obiecałem ci opowiedzieć wszystko i opowiem, ale pod warunkiem, że zbierzesz sily. Oprzyj głowę na poduszce. Ot tak. Okryj się i leż spokojnie.

Byłem posłuszny.

— Już jestem spokojny, ale prędzej ojcie, prędzej. Niech już się raz dowiem wszystkiego. Czy istotnie już zdrowsza? co jej było?

— A więc słuchaj: tej nocy, w której Selim ją porwał, była burza. Hania miała na sobie tylko lekką sukienkę. Przemokła do nitki. Przytem krok ten szalony kosztował ją niemało. W Chorzelałach, dokąd zawiózł ją Mirza, nie miała się w co przebrać, więc w tej samej mokrej sukience tu powróciła. Tegoż samego dnia już dostała dreszczów i silnej gorączki. Na drugi dzień stara Wę-growska nie umiała utrzymać języka i powiedziała jej o twoim wypadku. Powiedziała jej nawet, żeś zabity. Oczywiście zaszkodziło jej to. Wieczorem była już bezprzytomna. Doktor nie wiedział przez długi czas co to jest, aż

wreszcie... wiesz: we wsi całej panowała i panuje dotąd ospa — Hania dostała ospy.

Przymknąłem oczy, bo zdawało mi się, że i ja odchodzę od przytomności, wreszcie rzekłem:

— Niech ojciec mówi dalej. Przecież jestem spokojny.

— Były chwile — mówił dalej ojciec — wielkiego niebezpieczeństwa. Tego samego dnia, kiedy ciebie mieliśmy za straconego i ona była prawie konającą. Ale dla obojga was przyszła jednocześnie szczęśliwa kryzys. Dziś ona, tak jak i ty, jest rekonwalescentką. Za jaki tydzień będzie zupełnie zdrowa. Ale co tu się działo w domu! co się działo!

Ojciec skończył i patrzył na mnie uważnie, jakby w obawie, by słowa jego zbyt nie wstrząsnęły mego osłabionego jeszcze umysłu — ja zaś leżałem nieruchomie. Przez długi czas trwało milczenie. Zbierałem myśli — i rozpatrywałem się w nowym nieszczęściu. Ojciec wstał i począł chodzić szerokimi krokami po pokoju, spoglądając od czasu do czasu na mnie.

— Ojciec rzekłem po długim milczeniu.

— Co, chłopcze.

— Czy... czy... bardzo zeszpecona?

Głos mój był spokojny i cichy, ale serce biło mi głośno w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Tak! — odparł ojciec. — Jak to po ospie. Może być, że nie będzie żadnych znaków. Dziś jeszcze są. Ale znikną, znikną pewnie.

Odwróciłem się do ściany; czułem, że mi gorzej niż zwykle.

W tydzień jednak potem byłem już na nogach, a w dwa tygodnie ujrzałem Hanię. Ach! opisywać nawet nie próbuję, co się zrobiło z tej ślicznej idealnej twarzy. Gdy biedaczka wyszła ze swego pokoju i gdy ujrzałem ją poraz pierwszy, jakkolwiek przysięgłem sobie poprzednio, że nie pokażę po sobie najmniejszego wzruszenia, nagle zrobiło mi się słabo i zemdląłem, jak nieżywy. O jakże była zeszpecona okropnie!

Gdy mnie ocucono z omdlenia, Hania płakała głośno i nad sobą pewnie i nademną bo i ja byłem podobniejszy jeszcze do cienia niż do człowieka.

— To ja wszystkiego tego przyczyną! — powtarzała łkając — ja przyczyną!

— Haniulku, siostrzyczko moja! nie płacz, ja cię zawsze będę kochał! — zawołałem i uchwyciłem jej rękę, chcąc podnieść je do ust, jak dawniej.

Nagle drgnąłem i cofnąłem usta. Te ręce, niegdyś tak białe, delikatne i śliczne, były teraz okropne. Czarne plamy pokrywały je całkowicie, a przytem stały się chropawę, wstrętne prawie.

— Ja cię zawsze będę kochał! — powtórzyłem z wysileniem.

Kłamałem. Miałem w sercu litość ogromną, łzawą i miłość brata, ale dawne uczucie uleciało jak ptak ulata — bez śladu.

Wyszedłem do ogrodu, i w tej samej chmielowej altanie, gdzie nastąpiło pierwsze wyznanie między Selimem i Hanią, płakałem tak, jak po zgonie drogiej osoby.

Bo też istotnie: dawna Hania dla mnie umarła i w sercu pozostała tylko po niej pustka i ból, jakby z niezagojonej rany i wspomnienie wyciskające łzy na oczy.

Siedziałem tak długo i długo! Cichy

wieczór jesienny począł palić się czerwoną zorzą na szczytach drzew. Szukano mnie w domu — wreszcie do altany wszedł ojciec. Spojrzał na mnie i uszanował mój żal. — „Biedny chłopcze — rzekł — Bóg doświadczył cię ciężko — ale ufaj mu! On zawsze wie co czyni.“

Oparłem głowę na piersi ojca i przez jakiś czas milczeliśmy obaj.

Po niejakej chwili ojciec rzekł:

— Byłeś do niej przywiązany bardzo, więc powiedz mi: gdybym ci rzekł: daję ci ją — podaj jej rękę na całe życie — cóżbyś mi odpowiedział?

— Ojciec! — odrzekłem — miłość mogła ulecić odemnie — ale uczciwość nigdy: jestem gotów.

Ojciec ucałował mnie serdecznie.

— Niechże cię Bóg błogosławi. Poznając cię, ale to nie twój obowiązek — nie twoja powinność, to powinność Selima.

— Czy on tu przyjedzie?

— Przyjedzie wraz z ojcem swoim. Ojciec jego wie już o wszystkim.

Jakoż o zmroku przyjechał Selim. Gdy ujrzał Hanię, zaczerwienił się, a potem zbladł jak płótno. Przez chwilę znać było na jego twarzy ciężką walkę serca z sumieniem. Znać i od niego ulatywał ów ptak skrzydlaty, któremu imię: miłość. Ale zwyciężył się ten szlachetny chłopak: powstał, wyciągnął rękę, a potem upadł przed Hanią na kolana, i zawołał:

— Haniu moja! jam zawsze ten sam, ja nie opuszczę cię nigdy, nigdy!

Łzy obfite spłynęły po twarzy Hani, odsunęła jednak lekko Selima. — „Nie wierzę nie wierzę, żeby mnie teraz kochać można“ — rzekła — a potem zakrywszy twarz rękoma, zewołała:

— O jacy wyście wszyscy dobrzy i szlachetni! jam tylko najmniej szlachetna, najwięcej grzeszna; ale tu się już skończyło wszystko: jam już inna!

I mimo nalegań starego Mirzy: mimo prośb Selima, nie chciała oddać mu ręki. Pierwsza burza życiowa złamała ten śliczny kwiat zaledwo rozkwitły. Biedna dziewczyna! potrzebowała teraz po burzy, jakiej przystani świętej a cichej, gdzieby ukoić mogła sumienie i ukołysać serce.

Jakoż znalazła tę cichą i świętą przystań. Została siostrą miłosierdzia.

Później nowe wypadki i jedna straszliwa burza — sprawiły, że stracił ją z oczu na długo.

Po kilku latach jednak ujrzałem ją niespodzianie: spokój i cisza malowały się w tych anielskich rysach: ślady straszliwej choroby znikły zupełnie; w czarnej sukience i białym klasztornym kapeluszu piękna była jak nigdy — ale już tą nieziemską pięknnością: więcej anielską niż ludzką.

WOLNOŚĆ I PAŃSTWO.

STUDJUM SPOŁECZNE.

(Ciąg dalszy).

Skreśliwszy pobieżnie rozwój historyczny dzisiejszego państwa i uwydatniwszy głównie-

szcze fazy, w których się pojawiała idea wolności w czasie owego historycznego rozwoju, należy mi tedy przystąpić do rozpatrzenia kwestji wolności tak, jak się ona dzisiaj nam przedstawia, oraz stosunku jej do państwa.

Kwestje wolności, głównie dziś zajmujące umysły, można umieścić pod trzema kategorjami: mianowicie wolnością *indywidualną, polityczną i narodową*.

Wolność indywidualna obejmuje: 1. wolność *myśli*, 2. wolność *czynu*. Przystąpmy naprzód do wolności *myśli*. Myśl póki z obrębu wewnętrzności nie wystąpi, póki się nie uzewnętrzni, tamy napotykać nie może, a więc jest wolną. Dopiero w chwili swego uzewnętrzniania się może myśl być krepowaną. Myśl, by się uzewnętrznić, musi wywołać pewne zmiany w świecie zewnętrznym. Wiemy że czyn także każdy jest zmianą sprowadzoną w świecie zewnętrznym przez człowieka działającego z pewną myślą. Zachodzi jednak różnica pomiędzy czynem a prostym objawem myśli. Polega ona na tem, że kiedy czyn a raczej jego skutek ma pewne samoistne w świecie zewnętrznym stanowisko, objaw myśli tylko dla myśli istnieje. Czyn wywołuje bezpośrednio konsekwencje w świecie zewnętrznym, objaw myśli oddziałuje tylko w wewnętrznej sferze ducha ludzkiego; a dalsze zmiany w świecie zewnętrznym wywołać może tym tylko sposobem, że innych ludzi do działania pobudzi.

Uzewnętrznianie czyli wypowiedanie swych myśli jest dla człowieka potrzebą. Doświadczenie poucza nas o tem. Człowiek zaś, mając pewną potrzebę, ma i naturalne prawo do jej zaspokojenia. Tak więc możność objawiania myśli własnych jest prawem naturalnem człowieka; wszystko co wolność człowieka w tym względzie tamuje, nazwać można w obec tego naturalnego prawa bezprawiem.

Myśl objawiać się może w postaci osobistych spostrzeżeń i sądów o rzeczach, albo może należeć do dziedziny religji, sztuki lub umiejętności.

Co do wolności objawiania własnych spostrzeżeń i sądów, państwo w zupełności dozwolić jej nigdy nie może. Trochę mistycyzmu i jakiś hocus pocus najliberalniejszemu rządowi potrzebna. Już więc dlatego sprzeciwiać się będzie zupełnej swobodzie w wyrażaniu swoich myśli. Zresztą rządy wiedzą dobrze, że myśli prowadzą do czynu, że myśli ciągle się rozwijają i postępują; rząd zaś każdy z natury swej konserwatywnym, ba, często nawet reakcyjnym być musi. To jeszcze bardziej budzi jego nieufność i lekliwość odnośnie do wolności objawiania swoich myśli. Procesy prasowe, kary za obrazę rządu mową i pismem, a w jakimże państwie ich nie ma, walczą przeciw tej gałęzi wolności indywidualnej człowieka.

2. rodzajem wolności indywidualnej, jest wolność religijna, wolność sumienia. Polega ona na wolności odprawiania obrządków religijnych i swobodzie w wypowiedaniu swoich religijnych przekonań. Pojęcia religijne mogą wywoływać walki; mogą też być zgnębione i skrepowane w uzewnętrznianiu się swym zakazami, karami i prześladowaniem. Dziś, jak wiemy, walki o religję, przynajmniej w Europie, nie prawdopodobne. Ludy i indywidualni stały się bardzo tolerującymi, lub indyferentnymi. Im większa będzie religijna swoboda, tem mniej możliwe religijne zatargi. Od indywidualów nie wielkie dla wolności religijnej grozi dziś niebezpieczeństwo. Główną tu ta-

mę stanowią państwowe urządzenia: owe kościoły panujące, owe zakazy innowacji i sekeiarstwa, itd. Państwo jednak nie może się zupełnie wyrzec swego wpływu na religję i swojej negatywnej w tym względzie działalności, ponieważ: 1. Wiele państw dzisiejszych centralizację zawdzięcza jedynie panującej religji. 2. Ponieważ rząd nie zechce się wyrzec wpływu, jaki za pośrednictwem duchowieństwa wywierać może na pojedyncze indywidua, i w tym celu duchownych zawsze w zależności od siebie utrzymywać będzie sobie życzył. 3. Ponieważ wreszcie monarcha i ludzie u steru rządu stojący, zawsze religję, którą sami wyznają, będą się starać popierać z mniejszą lub większą ujmą dla innych wyznań?

3. kwestją wolności, jest kwestja wolności w dziedzinie umiejętności. Że umiejętność przez państwo może być krepowaną, dostarcza nam przykładów historia; ileż to bowiem ludzi cierpiało za nią okrutnie. A i dziś jeszcze nie małe prawdzie ze strony państwa grozi niebezpieczeństwo. Wszakżeż to nie dawno domagano się w ciele prawodawczym francuskim, by rząd tamę rozwojowi materializmu położył. Państwo szkodzić może i szkodzi rozwojowi umiejętności w sposób negatywny i pozytywny. Do pierwszego sposobu zaliczyć należy wszelkie zakazy, a w szczególności cenzurę i procesa prasowe. Pozytywnie zaś, szkodzi państwo umiejętności wtedy, gdy przepisuje regulamina nauczania, ogranicza liczbę szkół, przepisuje niestosowne programy naukowe, popiera wyłącznie pewien rodzaj umiejętności ze szkodą innych itd. A państwo i na umiejętność wpływu zupełnie wyrzec się nie może: potrzebuje koniecznie nadać jej pewien z celami swymi zgodny kierunek. Pewne umiejętności z pewnymi formami rządu pogodzić się nie dadzą: np. filozofja z despotyzmem. Dalej w wielu dziełach naukowych mieszczą się w idee przeciwne bądź celom państwa, bądź poglądom, które za zasadnicze w ustroju wewnętrznym i administracji przyjęto. Cenzura i procesa prasowe niezbędne są dla państwa dla poskromienia zbytich zapędów umiejętności.

Dla tych samych powodów musi państwo i czwarty rodzaj wolności, to jest wolność sztuki, ograniczać; bo sztuka, to nie innego, tylko przedstawienie prawdy w żywotnej formie, nadanie jej życia postaci.

Zobaczmy teraz jak zachowuje się państwo w stosunku do *wolności czynu*. Czyny ludzkie najogólniej dadzą się podzielić na dobre i złe. Pojęcie dobrego i złego jest czysto względne: zależy od tego, do czego odnosić je zechcemy. Abstrakcyjnie biorąc, złe jest pierwiastkiem dysharmonji, dobre — zgodności. Państwo, a raczej rząd, pojęcia dobrego i złego odnosi do siebie i te czyny, które zgodne są z jego celami, nazywa dobrymi, te zaś które im się sprzeciwiają, za złe uważa i mianem przestępstwa cechuje. Człowiek w państwie ma wolność pod względem spełniania czynów przestępnych, zupełnie zatomowaną: a czyny te często są bardzo dobrymi, odnośnie do społeczeństwa i natury człowieka. Ale i między czynami dozwolonymi wiele znajduje się takich, które ze strony państwa ograniczeniom ulegają, ba, często nawet w zakazane przechodzą.

Sprężyną popychającą człowieka do działania, jest interes. Interes jest planem zaspokojenia pewnego wymagania potrzeby naszej, czyli pewną potrzebą z obmyślonymi środkami do jej zaspokojenia. Do środków zaspokajających potrze-

by dojść może człowiek jedynie przez pracę. *Wolność pracy* jest także jednym z praw naturalnych człowieka; a w związku z nią zostaje *wolność zajęcia*, wolność obrania sobie zawodu. *Wolność pracy* tamuje państwo przez niktóre instytucje jak np. przez cechy, zakazy stanowe itd., wolność obrania sobie zawodu szczególnie przez przymusową służbę wojskową; wojska zaś nie może się państwo wyrzec w żaden sposób, jak to zobaczymy później. Oła, fałszywy system protekcyjny i ogromne podatki bądź tamują przemysł i handel, bądź osuszają jego źródła, rujną kapitały i tym sposobem odejmują jednostkom możność zajmowania się obranem przez nie zajęciem. Pomimo więc że państwa w zasadzie przyznają wolność pracy, pomimo że wspierają przemysł i handel usiłują, to jednak w rzeczywistości największe temu wszystkiemu tamy stanowią.

Widzieliśmy więc, że państwo wszystkim rodzajom wolności indywidualnej mniej lub więcej ciasne zakreśla granice i tamy im stawia. Przejdźmy teraz do wolności politycznej.

Pod nazwą wolności politycznej, rozumieć dzisiaj należy wyswobodzenie osoby i praw jednostki jako obywatela pewnego państwa, z pod supremacji rządu, czyli inaczej szanowanie osoby w obec celów ogólnie państwowych. To może być osiągnięte w dwojaki sposób:

1. w pozytywny, przez dozwole nie obywatelom brania udziału w rządzie, za po mocą urzędów wyborczych, samorządu i reprezentacji.

2. Wolność polityczna może być zapewniona w sposób negatywny, przez prawa zapewniające poszanowanie pewnych praw osobistych jednostek, jako to: spokoju domowego, tajemnicy listów i dokumentów prywatnych, praw majątkowych przez zapewnienie szanowania wolności obywatela poszlakowanego o przestępstwo, aż do chwili, w której czyn przynajmniej do prawdopodobieństwa dowiedzionym nie będzie, czyli tak zwane *habeas corpus* itd. Pierwszym przykładem takich zapewnień ze strony rządu była Magna Cartha Anglii, a u nas Statut Radomski.

Prawa polityczne czyli wolność polityczną zapewniają teraz obywatelom konstytucje. Lecz któż nie wie, że z wyjątkiem może Anglii, konstytucje na to nadawane są ludom, by je gwałcić później co chwila; że rządy dzisiejsze pod konstytucyjną maską, tylko absolutyzm ukrywają. W Anglii znowu, gdzie prawa najwięcej są szanowane, na miejsce tyranji rządu, podstawiała się tyrania stronnictw. Zresztą większość ludności angielskiej, podług tamtejszych praw wyborczych od udziału w rządzie jest wykluczoną. Słowem, prawdziwa wolność polityczna, równie jak indywidualna, nie istnieje nigdzie na świecie. Zasada polska liberum veto, obok statutu Aleksandra Jagiełłończyka, najwięcej może do ideału wolności się zbliżała, jednak rezultatem tego był upadek państwa polskiego.

Pozostaje nam wreszcie *wolność narodowa*. Ta dzisiaj marzeniem tylko. Większość państw europejskich zawiera w obrębach granic swych narodowości, co do samoistności i niezależności wzdychają. Zasada narodowości, za podstawę dla państwa na przyszłość wzięta, rozłożyłaby lub zburzyła prawie wszystkie europejskie państwa. W obec idei państwa dzisiejszego przeprowadzenia tej zasady jest niedorzecznością, niepodobieństwem.

Widzimy więc, że państwo z wolnością poniekąd w sprzeczności zostaje; że tamy swobo-

dnej działalności ludziom stawia, a więc wiele cierpień czyli złego dla człowieka jest przyczyną. Zapytajmy się teraz, jakie są z państwa pożytki i czy one szalę na korzyść jego istnienia przeważać mogą (C. d. n.)

AWANTURNICZA WYPRAWA DO CHIWY

BURNABY'EGO

KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy.)

X.

Terazniejszy Chan Chiwy jest jedynastym z rządu reprezentantem panującej obecnie dynastji. Wstąpił on na tron dziesięć lat temu po śmierci swego stryja, albowiem w Chiwie tak jak na całym Wschodzie, nie syn po ojcu następuje, ale brat po bracie; dopiero gdy ostatni z braci umrze, przychodzi kolej na pokolenie synów, którą otwiera syn najstarszego z braci. Dla tego to tak powszechnie, szczególnie w rodzinach panujących, panuje na Wschodzie bratobójstwo. Świeżym tego przykładem jest ta okropna rzeź, której widownią była przed kilku tygodniami stolica cesarstwa Birmy. Młody cesarz, „pan siedmiu deszczochronów,“ żeby zapewnić tron dla siebie i dla swoich dzieci, kazał wymordować wszystkich swych braci i kuzynów.

Chan Chiwy jest to młody człowiek, najwyższej dwudziesto ośmio letni, wzrostu słusznego, zbudowany barczyście, brunet, o niskiem czworograniastem czole, o nosie załartym i płaskim. Nosi cały zarost, za to głowę ma ogoloną i tylko nad czołem zostawia mały czubek, dość buńczucznie wyglądający. Cała jego postawa i fizjognomja zdradza wiele dystynkcji a przytem niepospolite zasoby dobrodusznosci. Uczciwość i łagodność maluje mu się w twarzy, jakkolwiek widać w nim człowieka, który dużo wierzył, a oparzony nieraz, zwątpił w końcu, ale zwątpił w okoliczności nie w ludzi. Jako mahometanin jest fatalistą, a jako dobry i uczciwy człowiek jest idealistą. Z takich dwóch elementów złożona natura gdy się zetknęła z szatańską przewrotnością Moskali, nabrała przekonania, że nie ludzie są źli, ale że okoliczności nie są sprzyjające. Wyrobiła się w nim tedy niewiara w los, a na tle tej niewiary pozostało dawne przekonanie, że ludzie są uczciwi, bo on sam jest uczciwy i nie mógłby sobie wyobrazić, jak mogliby być ludzie innymi.

Chan przyjął Anglika w dużej sali tronowej, zaopatrzonej w szklane szyby, przedmiot ogromnie rzadki i niesłychanie kosztowny w Chiwie. Siedział on na tronie, z którego powstał, gdy wprowadzono Anglika, postąpił parę kroków ku niemu, podał mu rękę i wskazał mu miejsce, poczem usiadł i rozpoczął rozmowę.

— Daleko Anglicy mieszkają od Moskali? — były pierwsze słowa Chana.

Burnaby wyjął mapę Wilda, którą na szczęście miał ze sobą, i na niej pokazał Chanowi odległość obu mocarstw, wyjaśnwszy przytem według jakiej skali zdjęta jest mapa.

— To dość daleko — rzekł w końcu Chan. — Jaka to szkoda, że ja tak daleko od nich nie mieszkam. A powiedz że mi pan, czy Anglicy i Niemcy to jedno i to samo?

Burnaby chcąc uzasadnić swą odpowiedź przeczącą, począł się już był wdawać w dysser-tację etnograficzną, kiedy wtem Chan, którego to widocznie nudzić zaczynało—przerwał mu na-gle pytaniem:

— A gdzie są Indje?

— Anglik je wskazał. Chan popatrział, po-kręcił głową i rzekł: — Nie, Indje nie są tu, ale tu, i mówiąc to wskazał palcem na południo-wą ścianę pałacu. Żeby to było w Europie, to grzeczność nakazywałaby Burnabyemu uchylić czoła przed koronowaną głową, ze skruczą wy-znać, że się omylił i odtąd zawsze utrzymywać, że Indje są tam gdzie Perska zatoka. Przecież tak od wieków postępują u nas wszyscy Polo-niusze.

Ale Burnaby nie był dworakiem, a do tego scena odegrała się nie w Europie, lecz w Azji, gdzie naturalnie Europejczykowi nie wypadło przyznać się do błędu, choćby nawet w dziedzi-nie geografji.

— Oh! przepraszam — rzekł tedy Anglik, dając znak Nazarowi aby zdjął bussolę, którą zwykle na sznurku nosił na szyi. — Zaraz Waszą królewską Mość przekonam, że Indje są w tym oto kierunku, to jest wprost za tym południowo-wschodnim kątem tej sali.

Nazar podał bussolę, Burnaby począł ją odkręcać, a w sali przebiegł szmer przerażenia wśród całej świty Chana. Naiwni azjaci myśleli, że to jakaś piekielna maszyna i zaczęli się oba-wiać o życie swoje i swojego monarchy. Ale Chan zrozumiał o co im chodzi, a chcąc się po-pisać ze swoją wiedzą — rzekł dumnie i obo-jętnie:

— Znam ten instrument, mam nawet jeden egzemplarz, ale nie chodzi teraz, bom go roze-brał; chciałem zbadać co tę strzałkę porusza.

Biedny Chan Chiwy! Jego materialistycznie wyrobiony umysł nie mógł sobie wyobrazić istnie-nia siły niedotykalnej, nienamacalnej materjalnie.

Burnaby rozłożył mapę na ziemi, ustawił na niej bussolę, według kierunku igły magneso-wej nastawił mapę na północ i okazało się, jak niewątpliwie czytelnik zgaduje, że Indje są tam, gdzie Burnaby przedtem ich bytność zapowiedział. Chanowi ogromnie się podobała cała ta manipu-lacja z bussolą. Począł tedy szeroko i długo roz-pytywać się o wszystkie sąsiadujące z Chiwą ziemie, o odległości miast, o liczbę mieszkańców, o siły zbrojne jego sąsiadów etc. etc., słowem najmniej z godzinę trwała lekcja geografji za-równy przyjemna dla ucznia jak i dla nauczy-ciela. Chan rozpytywał się bowiem o wszystko z tak wyraźnym zajęciem, całą fizjonomją swoją zdradzał tyle zainteresowania się, słuchał z takim natężeniem Burnabyego, że ten odczuć mógł w całej pełni tę rzadką przyjemność, jaką się ma gdy się widzi przed sobą inteligentnego i żadnego wiedzy ucznia. Od czasu do czasu zrywał się np. z miejsca, biegł do tego lub owego kąta sali, mierzył ścianę krokami i objaśniał swym mistrzom, że poczynając od tego kroku zaczyna się Persja, a od tego znów Buchara, a tam dalej Afganistan, a tu znowu Chiny etc. Ministrowie klaskali języ-kiem z radości i wykrzykiwali uf, pa, pa!

Po geografji nastąpiła lekcja polityki i pra-wodawstwa.

— Czy Chiny także należą do Waszej kró-lowej?

— Nie, mamy tam jednak nasze kolonje a prowadzimy z niemi handel na wielką skalę.

— Ale Indje są jednak mniejsze od Rosji; Indje mogą zakryć jedną ręką, gdy Rosji i dwiema nie zdołam.

— Cóż to znaczy, obszar ziemi? Indje chociaż mniejsze, mają jednak trzy razy liczniej-szą ludność niż Rosja, a najmniej pięć razy są od niej bogatsze. Zresztą królowa Anglii oprócz Indji, posiada jeszcze inne kraje w innych częściach świata i posiada ich tyle, że na jej posiadłościach literalnie słońce nie zachodzi nigdy.

— A czy to prawda, że u was jeżdżą na koniach żelaznych, z których dym idzie?

— Tak jest, tylko to nie są konie, ale wozy posiadające taką maszynę, która się porusza.

Chan poprosił, żeby mu Burnaby rzecz tę wytłumaczył. Słyszał on bowiem o istnieniu kolei żelaznych od Moskali, ale zrazu sądził, że to są liche przechwalki z ich strony. Jednakże po-tem nabrał przekonania, że Moskale nie muszą kłamać, albowiem o istnieniu takich „koni“ że-laznych w Indjach i w Turcji opowiadali mu wę-drowni derwisze i kupcy karawanowi. Nikt wszakże nie mógł mu wytłumaczyć, na czem rzecz polega. Rad przeto byłby dowiedzieć się jak się *rodzą* takie „koni“ i czem się karmią. Naturalnie Burnaby, o ile to było możebnem, postarał się mu jak najpopularniej opisać kon-strukcję maszyny parowej, czy jednak dopiął celu, to trudno określić. Faktem jest bowiem, że Chan przerwał mu w najważniejszym punkcie i zadał pytanie, wskutek którego mrowie przebiegło po skórze Anglika.

— Czy Wasza królowa ścina głowy swym poddanym, gdy jej się to spodoba? — spytał Burnabyego.

— A do kata! — pomyślał Burnaby, może on ma zamiar ze mną tak postąpić? Nie traćmy jednak odwagi.

— Nigdy, przenigdy — rzekł głośno, z de-terminacją taką, jak gdyby był gotów napisać traktat przeciw karze śmierci.

— Więc cóż robi ze zbrodniarzami?

— Co robi? Zamyka ich do więzienia.

Tego mu przecie nie powiem — rzekł do siebie Anglik — że u nas wieszają, bo gotów jeszcze na mnie eksperyment zrobić.

— A macie wy chana?

— Nie, mamy chanową, która się nazywa królową.

— Ileż ona ma mężów?

— Miała jednego, po śmierci zaś jego nie wychodziła już drugi raz za męża.

— Dla czegoż?

— Bo zanadto kochała pierwszego swego męża, aby mogła po stracie jego wstępować z kimkolwiek w powtórny związek małżeński.

— Jakto można tak się przywiązać do kogo, żeby nie czuć miłości do innych? Ja mam sześć-dziesiąt i jedną żonę, z każdą żyję sześć dni w roku i uważam, że to zupełnie dostatecznie. Dłużej nie smakowałaby mi ta sama. A wieleż pan masz żon?

— Nie jestem żonaty.

— Co? Nie kupiłeś pan dotąd sobie ani jednej żony? Et, to przecie być nie może. Jakże pan sobie dajesz radę?

— Obchodzę się jakkolwiek.

Chan popatrział niedowierzająco na Burna-byego, pokręcił głową i dał wyraźnie do zrozu-mienia, że podejrzewa prawdomówność Anglika. Podejrzanie to zepsuło humor Chana. Wstał

tedy z tronu, kiwnął głową na znak, że audjencje skończona i rzekł oziębło:

— Wydałem rozkazy, aby panu pokazano wszystkie osobliwości, które pan zechcesz oglądać w mojej stolicy i w całym mym kraju.

(Dok. nast.)

MAGJA I NAUKA.

(Ciąg dalszy).

V.

Fabryki cudów w starożytności.

U stóp Parnasowej góry, w szczupłej do-linie, dokoła otoczonej wieńcem skał i przepaści, leżała nędzna wioska znana pod imieniem Del-fów. Przyległa część góry wznosiła się w amfi-teatr i jak opowiada Dyodor sycylijski, posiadała mnóstwo załomów skalistych, które głos trąb i ludzi tysiąckrotnie odbijały. Cudzoziemiec stawał w tem miejscu zdumiony i przerażony.

Między licznymi rozpadlinami skał w głębi wioskowej doliny znajdowała się mało przystępna szczelina, na którą długi czas nikt nie zwracał uwagi. Legenda opiewa, że pewnego razu kozy, skubiące trawę w pobliżu, stanawszy nad tą szparą, poczęły niespodzianie brykać, wywracać koziołki i beczyć w sposób osobliwy. Spostrzegłszy to pasterz imieniem Koretas, sądził zrazu że jakieś wstrętne zwierzę przestraszyło jego kozy; zbliżywszy się jednak do szczeliny i spoj-rzawszy w głąb, uczuł nagle dziwny zawrót w głowie, zaczął skakać konwulsyjnie wraz z kozami, aż nareszcie upadł na ziemię, wy-cieńczony i potem okryty. Wówczas zdawało mu się, że jest w niebie, widział najdziwniejsze rzeczy i księga przyszłości otworzyła się przed nim.

Nie dziwota, że tłumy ludu poczęły się zbiegać w to miejsce, nabierając coraz bardziej przekonania, że duch boski (którego mówiąc na-wiasem, chemicy owecześni rozebrać nie umieli), wydzielał się z tajemnicznej szczeliny. Wielu za-paleńców zachęconych próbą, rzucało się w głąb przepaści, ażeby tem skuteczniej nasycić się tym boskim duchem. Przyszło do tego, iż władze musiały się wmieszać; zamknięto wejście do wą-wozu kratą żelazną podtrzymywaną przez trzy słupki, zkad później nazwa *trójnoga* powstała. Na tym to trójnogu zasiadła Pytja przygotowując się do wróżby.

Łatwo bowiem domyślić się, iż kapłani ówcześni nie opuścili tak dobrej sposobności do zrobienia świetnego interesu. Wytłumaczyli lu-dziom, że nie kto inny tylko sam Apollo siedział tam w przepaści i że wstępował w ciało każde-go, kto odetchnął jego powietrzem. Przed uj-ściem wąwozu postawiono wspaniałą świątynię, kosztem akeyjnego towarzystwa kapłanów, które zorganizowało się na poczekaniu; najęto młodą dziewczynę, jako narzędzie eksploatacji i otwo-rzono handel. Tłumy zbiegały się coraz liczniej-sze i coraz wykwintniejsze. Kapłani tymczasem, między którymi byli ludzie uczeni, poczęli docho-dzić przez szereg prób, jakimby sposobem wzmo-cnić lub zastąpić wpływ gazów naturalnych na system nerwowy, sztuczną kombinacją dymu i par różnych ciał, na przypadek jeżeli wyziewy natural-ne okażą się za słabe lub wyczerpią się zupełnie. Po długich dochodzeniach udało im się cel ten za pomocą pewnej mieszaniny ziół osiągnąć; lecz

jaką ona była, nie wiemy, gdyż na nieszczęście tajemnicę ponieśli z sobą do grobu. Niemniej jednak użycie tego środka upowszechniło się dość znacznie, niektórzy bowiem kapłani nie poprzestając na dywidendzie, jaką dawała spółka, porzucili Delfy, na swoją rękę zakładając podobne świątynie w różnych stronach kraju.

Jest rzeczą prawdopodobną, że do odurzania Pytji używali kwasu węglowego wydzielającego się z węgla jarzących, na które nadto rzucono ziarenka mastyksu i żywicy benzoosowej; ten bowiem środek bardzo był upowszechniony na wschodzie, a dziś jeszcze używają go kuglarze arabscy (Tissot, De l'Imagination). Prawdopodobnie jednak dodawali jeszcze jakiś silniejszy narkotyk, gdyż skutki inhalacji Delfickich były nieraz bardzo gwałtowne.

Nazwa Pytji pochodziła od tradycji związanej z legendą o Apollonie. Miał on, podobnie jak nasz Krakus, zabić smoka czy węża, Pytona, który pustoszył okolicę, a skora z niego zdjęta (rozumie się przez samego syna Jowiszowego, oddana kapłanom delfickim), została zawieszona w świątyni. Okrywano nią trójnog, gdy Pytja miała nań wstąpić.

Z razu z wyborem dziewczyny wiązano znaczne trudności; młodość, piękność i dziewictwo uważane były jako warunek niezbędny i wymagany przez bóstwo; kapłani zaś wymagali nadto konstytucji nerwowej, wrażliwej, łatwo poddającej się różnym wpływom, a więc przedewszystkiem skłonnej do *histerji*. Okazało się jednak, że wrażliwość na wpływy kapłańskie nie przeważała wrażliwości naturalnej na powaby świątówne i jednego pięknego poranku, piękna wieszczbiarka uciekła z pięknym i bogatym Tessalczykiem. Apollo był oburzony, zwołał kapłanów na naradę i po długich rozprawach zdecydowano wybrać kobietę pięćdziesięcioletnią, wytrawną histeryczkę i nasyconą już wdziękami światowemi; pozostawiono jej tylko białe szaty, jako symbol dziewictwa wobec ludu.

Ponieważ jednak wziętość wyroczni wznosiła ciągle i ludzie codziennie niepokoiła ją zapytaniem, powstała obawa, ażeby takie pospolitowanie się nie osłabiło wiary w dwuznaczne lub bezsensowne frazesy, które kapłani w imieniu bóstwa sprzedawali dobrodusznym, i postanowiono otwierać wyrocznię nie częściej jak tylko raz do roku podczas pierwszej połowy kwietnia. Natomiast podniesiono cenę cudów i byle jakich ofiar nie przyjmowano.

Z nastaniem wiosny tłumy ściągały w okolice Delfów i wioska stała się wkrótce miastem. Było to niby nasze miasto odpustowe. Oczywiście jedna kapłanka nie mogła już nastarczyć i liczbę ich znacznie powiększono. Trafiało się nieraz, iż pod wpływem narkotycznych wyziewów, Pytja wpadała w konwulsje śmiertelne i wtedy zastępywano ją inną.

Nieszczęśliwe to były istoty. Już bowiem samo wejście na trójnog, wymagało długich i ciężkich chociaż zaszczytnych dla niej przygotowań. Przez trzy dni poddawano ją najsurowszym postom i pocierano olejkami z ziół pobudzających; co wieczór musiała się wykapać w czystym źródle kastalskiem, w którym macerowano przez czas dłuższy gałęzie laurowe; wychodząc z kąpieli wypijała kilka kubków tej samej wody. Poczem, kapłani odprowadzali ją do świątyni, gdzie jej dawano jeszcze szklaneczkę likieru który miał własność pobudzania wieszczych zdolności.

Łatwo zrozumieć, że po takiej dyjecie można prawie rzeczy, o których się nie śniło filozofom

Gdy nareszcie nadszedł pierwszy dzień funkcjonowania wyroczni, tłumy oblegały dolinę i wzgórza cisnąc się aż pod kolumny świątyni. Głuchy szmer podziwu zwiastował przybycie Pytji. Szmer zaś tłumy rozlegał się głośniejszym jeszcze echem w świątyni, po za jej kulisami bowiem poruszano olbrzymie blachy i bito w bębny naśladujące grzmoty. Huk i łomot wzrastał; zdawało się, że ziemia wraz ze świątynią zapadnie się lada chwila...

To niebo dawało poznać swoją władzę.

Lud grozą przejęty śledził przejście osłabionej dziewczyny z rozpuszczonymi włosami podtrzymywanej przez kapłanów. Nareszcie sadzano ją na trójnogu i poddawano działaniu zjadliwych gazów. Wówczas włosy jej jeżyły się, oczy stawały kołem lub błyskały w konwulsyjnym drganiu. Twarz stawała się bladą i siną jak u trupa, usta pieniały się, członki zimnym potem okryte wykrzywiały najstraszliwsze konwulsje, i nagle jęk przenikający serca wyrwał się z jej piersi...

„Bóg! oto Bóg przemawia!” wołały tłumy.

Natenczas kapłani wśród najgłębszej ciszy zbliżali się do jęczącej, chwytając starannie każde słowo, które jej się z ust wymknęło.

Po godzinie takiej męczarni, podczas której kapłani wszelkimi sposobami zmuszali odurzoną do mówienia, odprowadzano ją nareszcie do ukrytej w świątyni celi, gdzie nieraz wiele dni potrzebowała ażeby przyjść do siebie.

Jeśli mimo wszelkich pobudek, słowa odurzonych były skąpe i nie trzymały się jedno drugiego, kapłani dorabiali sens troskliwie na tajemnej naradzie. Podobno nawet słów tych nigdy wprost nie powtarzali interesantom, tylko układano z nich odpowiedź samodzielnie. Do pomocy istniała cała banda miejscowych szpiegów, którzy wywiadywali się różnych szczegółów o przyjezdnych, ażeby kapłanom dać możność zaimponowania wszechwiedzą. Ludzie ci trzymali rzecz w tajemnicy, ponieważ dobrze im się procentowała.

Pomyślność wyroczni w mniej ważnych wypadkach stosowała się także do hojności ofiary. Podają w tym względzie n. p. następujące anegdoty:

„Majtkowie pewnego okrętu, wylądowawszy szczęśliwie po burzy, przyszedli do świątyni podziękować bogom i przynieśli na ofiarę kozła. Kozioł był chudy i kapłani krzywili się, rozcinając go dla wypowiedzenia wróżby, według układu wnętrzości. Gdy obecni oglądali wątrobę, jeden z kapłanów zeskamotował nerki i cisnął je w kąć.

— Ofiara nie ma nerek! — rzekł po chwili — to bardzo zła wróżba...

Majtkowie pospieszyli po drugiego kozła, który był nieco tłuściejszy.

— Ofiara nie ma serca! — wyjąkał kapłan z umiejętnie udanym przerażeniem, rozbierając drugiego kozła.

Przyniesiono trzeciego; ten był piękny i dostatecznie tłusty.

— Ofiara jest miłą bogom! — wyrzekli chórem kapłani — wszystkie wnętrzości znajdują się w najlepszym stanie. Możecie odejść w pokój!

Wieszczbiarstwo doprowadzone do specjalności, zaczęło objawiać wkrótce znaczne postępy. Wyrocznie mnożyły się i urozmaicały na różny

sposób. W Dodonie, gdzie była najstarsza wyrocznia, wróżono z szumu drzew, dźwięku naczyń miedzianych i szmeru wody ze świętego źródła. W wyroczni kumejskiej układano liście na kształt kart i wróżono z ich kombinacji itp.

W świątyni Jowisza Ammońskiego w Lybji, uroczystość odbywała się w następujący sposób.

Ośmdziesięciu księży kładło na swe ramiona olbrzymi okręt sztucznie zbudowany, na którym wielki tron zajmował posąg Jowisza, w złoto i kamienie drogie przybrany. Z taką processją wychodzili ze świątyni i szli manowcami przez pola, objaśniając ludowi że ich duch boski prowadzi.

W skład korowodu wchodziły także inne grupy, dodające obrzędowi okazałości i wdzięku. A więc przedewszystkiem gromada dziewcząt w bieli. Jedne z nich tańczyły przy dźwięku cymbałów, inne śpiewały hymny na cześć boga bogów.

Mniej więcej po godzinie takiej wędrówki posąg siedzący Jowisza, który był arcydziełem ówczesnej mechaniki, marszczył brwi za naciśnięciem sprężyny. Był to znak, że chce spocząć w tem miejscu i mówić. Jeżeli zaś twarz, mimo przedłużania się procesji nie zmieniała wyrazu, to znaczyło, że ofiary były niedostateczne i że bożek nie ma zamiaru prorokować.

Do opowiadania wyroczni używany był jeden z kapłanów, wywiczony w sztuce bruchomówstwa.

Później używano praktyczniejszych sposobów, mianowicie gdy chodziło o przemawianie posągów w świątyni. Wówczas do statui stojącej na środku sali przeprowadzano pod podłogą *tubę akustyczną*, aż do ukrytych miejsc budynku, gdzie jeden z kapłanów basowym głosem puszczał w świat wieszce słowa, ułożone z góry na naradzie.

Między wykopaliskami Pompei znaleziono niektóre takie maszyny.

Jakże się musieli śmiać potem ci ludzie, widząc jak ich wypracowania logiczne, wpisywano w święte księgi, na wieczną rzecz pamiętkę!

Wielkiej sławy używała także wyrocznia Trofonjusza w Beocii. Ów Trofonjusz, był to według jednych bohater, według drugich rozbójnik; ale to nie ulega wątpliwości, że był znakomitym magiem. Został też po śmierci uznany za boga.

Ten chwycił się lepszego środka. Zamiast głodzić Pytję głodził interesantów. Trzeba było trzy dni pościć i różne skruchy odprawiać, zanim się dostało do jego świątyni. Czwartego dnia dwoje dzieci nacierało gościa różnymi olejkami i dawało mu różne odurzające napoje. Jeden z tych likworów miał własność wody *letejskiej*, tj. odbierał pamięć przeszłości, czyli poprostu pozabawiał zmysłów; drugi zaś zwany *wodą Mne-mozyny* działał na wrażliwość, ażeby pacjent tem łatwiej mógł zapamiętać co zobaczył i usłyszał w świątyni.

A pokazywano mu tam dziwy i strachy, wspanialsze niż w nowszych łożach massońskich, które od Trofonjusza nie mało skorzystały.

Najprzód prowadzono go do szczeliny, której otwór przypominał jamę wielkiego pieca. Zstępował w nią po drabince i dochodził do wielkiej podziemnej sali, na środku której stał olbrzymi posąg Trofonjusza. Tu kazano mu zjeść dwa chleby z miodem i położyć się na grzbiecie.

Po chwili spoczynku uczuwał się nagle porwanym za nogi z przerażającą szybkością. Wlokło go coś, gdzieś, w przepaść ciemną, rozlegającą się tylko strasznym hukami i dzikimi okrzykami. Błyskawice z proszku *Lycopodium clavatum* i pioruny w niewiadomy sposób naśladowane, od czasu do czasu rozjaśniały ciemności. Zwolna hałas uspokajał się i nastawała zupełna cisza i pacjent znajdował się nagle we wnętrzu świątyni, nie wiedząc jak się tam dostał. Sadzano okrytego potem na krześle Mnemozyny: pytano go co widział lub słyszał i z własnych słów jego układano wyrocznię. Można się domyślać, że podczas takiej podróży biedaczysko widział i słyszał więcej niż oko ludzkie kiedykolwiek widziało lub ucho słyszało.

Komuby się zaś wydawało niepodobnem, ażeby przez tyle wieków ludzie mogli się łowić na tego rodzaju głupstwa i przywiązywać do nich taką wiarę, ten niech posłucha co się działo znacznie już później, bo w pełnym rozkwicie chrześcijaństwa, w tak zwanym *czyszczeniu św. Patrycego*. (C. d. n.)

K O R E S P O N D E N C J E

Poznań, w kwietniu 1879 r.

(Wyprawa Stańczyków do Wielkopolski).

(F. Ch.) W pierwszych dniach wielkiego postu zjechało do Poznania dwóch profesorów krakowskiej wszechnicy: hr. Tarnowski i dr. Michał Bobrzyński. Poznań przyjął ich tak gościnnie i hucznie, że profesorowie dni, w ogrodzie Przemysłowym spędzone, do najszcześniejszych swego życia policzą; Poznań obsypał gości taką burzą oklasków, obrzucił takim ogniem podziwiających i gapiących się ócz, że profesorowie, jeśli dotąd o wielkości swej nie byli przeświadczeni, z Poznania wyjeżdżając z głębi przekonanych serc, raczej próżnostek o sobie zawołać musieli: jacy my wielcy! Ano tak. Toć jeden z korespondentów poznańskich do Warszawy, nazwał owe prelekcje „wiekopomnemi.“ Gdyby wszyscy profesorowie uniwersytecy wygłaszali z katedr „wiekopomne“ prelekcje — musiałoby się codziennie najmniej trzech genialnych ludzi rodzić, a wiemy że tak nie jest, wiemy, że większa część profesorów do klasy rzemieślniczej należy. Jak można w ten sposób poniżyć pióro pisarza, panie korespondencie, a przede wszystkim własną godność! Odczyty profesorów krakowskich były prelekcjami jakich wiele, a nikt rozumny nie nazwie prelekcji profesorskiej „wiekopomną.“ Piszący te słowa nieraz na prelekcjach uniwersyteckich zasypiał; tak okrutnie go zajmowały.

Posłuchajmy co „Krakowiacy“ w Poznaniu wygłosili. Drugiego dnia po popielcu rozpoczął profesor Bobrzyński w sali bazarowej szereg (4) odczytów. Zaznaczył nasamprzód w kilku rysach granice pierwotnej Polski, poczem przeszedł do historii ducha polskiego od pierwotnych chwil rozbłyskującej samowiedzy narodowej. Pierwsi Polacy, nad Wartą siedzący, wystawieni na postronnych wrogów napady, do walki orężnej zmuszeni, nie mieli czasu do pisania dzieł, inter arma silent Musae. Od czasu do czasu zamknął się jaki mnich, lub ksiądz inny w samotnej celi i zajął się książkami. Tak Kadłubek i Janko z Czarnkowa, kiedy popadł w niełaszkę Ludwika i Elżbiety. Dopiero pogromienie Krzyżaków pod

Grunwaldem, które zabezpieczyło Polskę od Wschodu i Zachodu, zrodziło spokój kraju, a ze spokojem wewnętrznym kwiat tegoż — literaturę. Polska, nieprzygotowana do wojny duchowej, żywi się zdobycami sąsiadów, przejmuje zasady panującej wówczas scholastyki. Równocześnie rumieni się na widnokręgu europejskiej myśli przedświt nowego kierunku. We Włoszech świta już swobodny humanizm: tam odtąd śpieszy polska młodzież wiedzy i „świeżego“ słowa spragniona. Długosz, Grzegorz z Sanoka i Kallimach, oto pierwsze owoce zwrotu. Młody Kazimierz Jagiellończyk przejmuje się teorią rzymskiego prawa, a Jan Ostroróg, starej rodziny potomek, wyzyskuje kierunek humanistów dla polityki, kreśląc program politycznej reformy. Ostroróg uważa kółła za źródło prawa, żąda od wszystkich posłuszeństwa dla władzy wykonawczej, służby wojennej i podatków, obowiązujących każdego obywatela; wszyscy mają być równi w obliczu prawa — tak chce Ostroróg — a język polski ma być urzędowym w rządzie, kościele i szkole. Jan Olbracht i Aleksander, idą śladem programu Ostroroga, ale Zygmunt stary, który się oparł na możnowładztwie celem utrwalenia formy rządu, zniszczył roboty poprzedników swoich, kładąc zasady przyszłych zawichrzeń, w których idea państwa, czyli Polska przepadła. Swoją drogą mimo daremności prac politycznych wy daje humanizm owoce żywe na innem polu. Rodzi się satyryk Krzycki i liryk Klemens Janicki, który mógł o sobie powiedzieć: non omnis moriat. Na Janickim kończy się pierwszy odczyt prof. Bobrzyńskiego. Niechże mi kto łaskawie powie, cóż w tym odczycie wiekopomnego. Szkic to, obrazek szerokiego krajobrazu, w ciasne i maleńkie ramy ujęty. W każdym podręczniku literatury polskiej możemy go także obejrzeć.

Drugi odczyt rozpoczął prof. Tarnowski od czasów Zygmunta I., w których zaznaczył znakomite dzieła Frycza Modrzewskiego. Frycza Modrzewskiego rozważał p. Tarnowski z dwóch stron: z politycznej i religijnej. Modrzewski, polityk, zasługuje na pamięć i uznanie — Modrzewski, reformator religijny, należy pod jurysdykcję pani inkwizycji. Dlaczego? Bo żąda usunięcia nauki o świętych i czyszczeniu, pragnie reformy obyczajów duchowieństwa przez zniesienie celibatu, wyboru biskupów, kościoła czysto narodowego itd... Gdyby projekt Frycza był się mógł w ciało zamienić, może byśmy dotąd państwem byli, ale tego widocznie prof. Tarnowski sobie nie życzy, bo właśnie ten projekt, zresztą zadziwiający śmiałością na ów czas, potępia. Dzieła religijne Modrzewskiego były według p. T. „ani dobre ani mądre.“ Proszę! Następnie mówił prelegent o poetach odrodzenia. Po Kochanowskim, który był słońcem jasnego dnia odrodzenia — nastaje szara godzina, bo słońce zagasa, a z tego zmroku wylania się dwóch poetów wielkopolskich: Klonowicz i Miaskowski. Klonowicz nie był wcale poetą wedle p. Tarnowskiego. „Ma coś w sobie z Kasandry, coś z Juwenala, a nawet Sokratesa, przy którym i Ksantypy nie brak, ale to wszystko nie daje mu miana poety. Znać w nim rozsądek, jest piękny duch, oburza się na złe — to wszystko nie tworzy jednak jeszcze poety. Gdyby przy owej bystrości, wykształceniu, erudycji, pisał prozą, byłby w liczbie prozaików swego czasu znakomite zajmował miejsce, ale pisząc wiersze, jest poetą bez talentu, poetą bez poezji. Flis może być tylko przewodnikiem dla handlarzy i żeglarzy, bo braknie w nim właściwego flisa, śpiewającego,

marzącego, brakuje w nim lirycznych szeptów, które w duszy poetycznego flisa wdzięczne brzegi uroczej Wisły rozbudzić winny. Jedyna Roxolania wytrzymałaby krytykę, i mogłaby uratować Acernowi szczytne poety miano, gdyby nie była napisana po łacinie.“ Dlaczegoż profesor hr. Tarnowski nie powiedział otwarcie: byłeś wrogiem Jezuitów, cny Acernie, więc należy ci się „kułak“ jeszcze wtenczas, kiedy prochy twoje już dawno z ziemią się zmieszaly! Na cóż takie kółowanie? Klin klinem. Prelegent ma coś w sobie z eleganckiego mówcy, coś ze stylisty wyborowego, coś z uczonego, estetyka i krytyka — ale to wszystko nie daje mu miana rzeczywistego znawcy literatury i krytyka, albowiem... proszę pamiętać... najwyższą zaletą krytyka jest bezstronność. Ona jedna zrobiła Lessingiem, a brak sprawiedliwości, choćby dla wrogów politycznych lub osobistych, może wydać tylko zręcznego o gładkim, słodkim języku frazeologa, a nigdy profesora literatury. Z Miaskowskim obszedł się prelegent łagodniej.

Nastaje wiek ósmnasty. Straszny czas! Już słyhać z dala przyciszony łoskot nadciągającej burzy, już błyska się po niebie Polski. Jan Kazimierz zbiera smutne owoce długoletniej a niedołejnej polityki polskiej. Szlachta z pod Pilawic ucieka, pokój westfalski odbywa się bez Polski, która schodzi na drugorzędne stanowisko. Tu i owdzie rusza się jeszcze sumienie, czego dowodem Tyszowce, ale naród nie myśli z opuszczonym królem, Janie Kazimierzu, o poprawieniu doli poddanych, więc daremne trudy. Wyrok Polski już podpisany w księgach przeznaczenia. I oświata upada. Samuel Twardowski ze Skrzypny pisze, zamiast epopei, nędzną, wierszowaną kronikę, a Krzysztof Opaliński miota się w satyrach na wszystko, co święte i wielkie; sam zaś bez wystrzału kapituluje. Czas jakiś stoi postać Sobieskiego na rozłomie, ale Sobieski umiera, a z nim reszta nadziei. Ludzie maleją coraz więcej, nikiemnieją, chwilę jeszcze, a nie ma ani jednej piersi „na formę Fidjasza.“ Kreśląc tę epokę poczynającego się rozkładu, był prelegent rzeczywiście mistrzem żywego słowa. Żal lał mu się z piersi, drżąc w głosie. Na tem miejscu uniósł profesor T. słuchaczy. A przecież... kreślił upadek, więc skutek, a powody, przyczyny rozprężenia pominął. Dlaczego? Głównym powodem tego upadku był brak światłego wychowania. Chowano szlachtę na głupców, na durniów batogami, wyrabiano kreatury posłuszne i bezmyślne, a chciano, żeby... dobrze było. W czystem ręku ówczesne wychowanie się znajdowało, wiemy; znamy więc powód pominięcia przyczyn. Na tem kończy się odczyt drugi. Proszę mi powiedzieć, co w nim było wielkiego? Czy pominięcie motywów główniejszych naszego upadku, więc płytkość?

Trzecią prelekcją wygłosił prof. Bobrzyński, nawiązując nic tam, gdzie ją poprzednik przerwał. Mowca roztoczył przed duszą słuchaczy smutny obraz. Szlachta zagarnęła w połowie ósmnastego wieku wszystkie przywileje, sprowadzając upadek miast, w srogą niewolę poddając lud wiejski. Małpując panów rozrzuciła szlachta ojców fortuny; trwoniąc ubożała, a ubożając wieszala się u klamek kilku magnatów, których ambicja stała się teraz jedynym prawem w Polsce. Ów nierozumny, butny frazes: Polska nierządem stoi! powstał w tym czasie. Najmniej polityczne przywileje, jak liberum veto, idealizowano, żreńnicą wolności nazywając. Cóż było powodem tego

rozstroju? Upadek oświaty, czyli brak rozumnego wychowania. I prof. Bobrzyński podawał tylko skutki omijając zgrabnie przyczyny. Powstali i teraz ludzie dalej widzący, tworzone instytucje reformatorskie jak: szkoły Konarskiego, korpus kadetów ks. Augusta Czartoryskiego, Uniwersytet Wileński, Szkoła krzemieniecka — cóż, kiedy wielkie masy drobnej szlachty straciły już poczucie obywatelskie. Nagły rozkwit literatury za panowania Stanisława Augusta, nie wyszedł z łona narodu, bo wyrósł na przykładach obcych, francuskich. Zaczyna trzask i łomot rysującej się wszędzie budowy państwa. Wyrastają różne osobistości światłe, które widzą rychły upadek. Od Leszczyńskiego sypią się ciągle znakomite dzieła polityczne, reformę kraju mające na celu. Wielkopolska dostawia dwóch znakomych statystów: wojewodę Gorczyńskiego i Staszica, mieszczanina z Piły. Praca Staszica: „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego, do teraźniejszego stanu Polski zastosowane“ robi potężne wrażenie w całym kraju, ale... zapóźno. Polska upada — rozdrapują trupa jej postronni mocarze, a naród oniemiał.

Zaczyna się wiek dziewiętnasty, którego początek kreśli hr. Tarnowski w czwartej prelekcji. Na początku naszego wieku zalegały Europę ciemności. Pomieszanie pojęć, brak wiary, stałych zasad i przekonań, apatja duchowa, gra w ślepa babkę — oto cechy pierwszych dziesiątków naszego stulecia. Wtem błyska nowa idea: romantyzm, a upadła Polska łączy się z resztą Europy. Świetne to czasy w literaturze naszej! Prof. Tarnowski zwrócił się głównie do postaci wielkopolskich najnowszych czasów. I oto odkrył wielkiego poetę: Morawskiego. Jedną trzecią część prelekcji, poświęcił profesor życiu i dziełom Morawskiego. „Dworzec mojego dziadka“ jest wedle prelegenta epopeją, zbliżającą się do Pana Tadeusza, wyższą od sielanki Brodzińskiego „Wiesław“, a bajki Morawskiego są areydzielami w miniaturze. Zaprawdę — wielkie odkrycie. Zналиśmy wszyscy dzieła Morawskiego jako dość słabe naśladownictwo epopei, nic więcej, aż tu nam ktoś powiada, że to wiekopomne dzieło. Z jakiego tytułu? Oto w sali bazarowej są synowie i wnuki autora, jest cała jego rodzina, a rodzina ta należy do przewodników stronnictwa ultramontańskiego; Sapienti sat? Wszakże, kto z takich powodów sądy literackie wydaje, ten zaprawdę nie ma prawa do tytułu krytyka.

Po jenerale Morawskim brzmiały nazwiska jenerała Chłapowskiego, ks. Koźmiana i ks. Janiszewskiego najgłośniej na sali bazarowej. Byli to najwięksi ludzie wedle prof. T., których ostatnie czasy Wielkopolski wydały. O Libelta potracił tylko, bo tego przecież pominąć nie mógł. Działyńskiego, Wegnera, Garczyńskiego, Marcinkowskiego, Łukaszewicza itd... prelegent prawie nie znał. Jenerała Henryka Dąbrowskiego wcale nie wymienił. Ostatnia prelekcja prof. Tarnowskiego była dytyrambem na rzecz kilku imion ultramontańskich, których reprezentanci między słuchaczami się znajdowali. Profesor mianował różne wielkości, o których dotąd nie wiele słyszeliśmy — profesor przyszedł do nas, aby wysławiać ultramontanów. A publikus poznański klaskał niby opętany, a dziennikarstwo wielkopolskie ryczało „hura“ jak ulicznik, który wrzeszczy byle wrzeszczeć, bo o co chodzi, nie wie. Smutny to objaw a smutniejsza, że „Warta“, pismo przez wszystkich kolegów znienawidzone, było jedynym organem, który w tej sprawie do-

wiódł odwagi cywilnej, bo wytoczył w łamach swych proces prelegentom za „pessimizm narodowy i rozmyślnie pomijanie zasłużonych u nas osobistości“, które nie mają szczęścia neleżenia do kliki ultramontańskiej. Dopiero kiedy „Krakowiaczy“ wrócili do sowego swego gniazda, przebudziło się wiele sumień. Miejmy nadzieję, że przyszłe odczyty nie znajdą „klaskającej bezmyślnie owczarni.“ Czego profesorowie krakowscy w Poznaniu chcieli? nie trudno się domyślić.

F. Jeske Choński.

San Francisco, California, 20 marca, 1879 r.

Rzadko, prawie ani razu za naszej pamięci, nie zdarzało nam się obchodzić *wesołych* narodowych pamiątek. Dnie: 29 listopada, 22 stycznia, a nawet 3 maja, „jakkolwiek przysporzyły chwały naszemu narodowi, i okazały przed światem, że „jeszcze Polska nie zginęła“; w skutkach były dla nas zgubnemi.

Ustęp ten skonfiskowała c. k. Prokuratorja Państwa.

Inaczej się rzecz ma z obchodem dnia 19 marca br., w którym my Polacy w San Francisco, a zapewne i w wielu innych miastach Ameryki i Europy, uczciliśmy dzień imienin, a co więcej *pięćdziesiąt letni* jubileusz gorliwej, pożytecznej dla Ojczyzny, pracy literackiej Józefa Ignacego Kraszewskiego. Jubilat jako poeta, historyk, powieściopisarz, obywatel szczerze miłujący Ojczyznę, a od pół wieku pracujący dla Niej, jest chlubą naszego narodu. Co zaś do ilości prac, których sam bez niczyjej pomocy dokonał, lub jeszcze — jeśli mu Bóg życia i zdrowia przedłuży — dokona, żaden ze współczesnych autorów niedorówna. Ztąd też na obchodzie takiej uroczystości, nie powinna ciążyć by najmniejsza chmurka.

W skutek uchwały i zaproszenia przez „Towarzystwo Polaków w Californii“ zebraliśmy się w dość sporej liczbie — niektórzy przybyli umyślnie z odleglejszych okolic — u obywateli Kryńskich, gdzie już była zamówiona i przygotowana dla nas uczta.

Szanowny pułkownik Rudolf Korwin Piotrowski, powołany jednomyślnie na przewodniczącego, jako kolega ze szkół lubelskich, dostojnego jubilata, otworzył w pięknej przemowie uroczystość.

Potem, sekretarz naszego Towarzystwa ob. Aleksander Elgass, przemawiał o dobroczynnym wpływie jaki Kraszewski wywierał i wywiera na nasze „Towarzystwo“, którego jest honorowym członkiem, przesyłając wiadomości z ojczystej ziemi, pisma perjodyczne, książki...

Następnie wezwany przez przewodniczącego, Julian Horain, przemawiał: ze wspomnień młodości swojej, o wpływie jaki wywierało na naszą społeczność pierwsze i następne dzieła Kraszewskiego, wyliczając cenniejsze i ich doniosłość. Do tego dołączył nieco szczegółów dotyczących osobistości dostojnego Jubilata i jego rodziny. Także przeczytał humoreskę, którą niedawno napisał, będąc do tego wezwany przez

ziomków, mających zamiar wydać w Wilnie pismo zbiorowe na cześć Jubilata.

Dalej, zaproszony na ten obchód, rodem Duńczyk ze Szlezwig-Holsztynu, jenerał podczas wojny Północy z Południem, następnie gubernator *Washington Territory*, obecnie adwokat w San Francisko, a przyjaciel Polaków i sprawy polskiej, Edward S. Salomon; w pięknej improwizowanej mowie w angielskim języku, przemawiał o zaszczytnym stanowisku Polaków wśród cywilizowanych narodów, o wpływie arcyzmu i literatury polskiej w ogólności, a szczególnie Kraszewskiego na społeczeństwo XIX wieku. Piękna ta mowa cudzoziemca, obznajomionego z naszą literaturą, a biorącego tak gorąco do serca naszą sprawę, była przyjęta z uniesieniem i oklaskami.

Obywatel Pandler odczytał wiersz okolicznościowy, na ten obchód przez niego ułożony.

Na tem byłyby się i zakończyła część umysłowa naszej uroczystości; gdyby, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, poczta ranna dnia tego, nie przyniosła nam *Gazety Polskiej w Chicago*, w której znaleźliśmy piękny wiersz pani Samolińskiej na cześć Jubilata ułożony. Na wniosek jednego z obecnych, doktor Pietrzycki, przybyły umyślnie na nasz obchód z Rio-Vista Cal. z przejęciem się treścią, przedeklamował ów wiersz. Nieprzyzwyczajeni do poetycznych utworów *takiej doniosłości*, przez naszych dorośliwych rymotwórców polsko-amerykańskich, z uniesieniem wysłuchaliśmy ten utwór prawdziwie poetyczny, zacnej Polki z Chicago, odznaczający się nie tylko doskonałym mechanizmem wiersza (o czem z przeproszeniem mówiąc, z wyjątkiem tylko jednego ob. Pawła Sobieskiego, nasi rymotwórcy polsko-amerykańscy pojęcia nawet nie mają) ale i myślą głęboką, patriotyczną.

Po zaspokojeniu potrzeb umysłowych, wypadało pomyśleć o potrzebach zmysłowych: przygotowana przez szanownych gospodarzy naszych wieczera, z nadmiarem uczyniła temu zadość. Jak zwykle, składała się z samych polskich potraw.

Po toaście na cześć dostojnego solenizanta i jubilata Józefa Ign. Kraszewskiego, powitanym trzykrotnem „Vivat! Niech żyje!“ wzniesiono toast na cześć pani Samolińskiej, poetki polskiej w Chicago.

Trzeba jeszcze dodać, że na kilkanaście godzin wprzód, Towarzystwo nasze wysłało do Drezna telegram z pozdrowieniem Jubilata. Przedstawione były telegramy w języku angielskim, polskim, łańskim; większością głosów wybrany został angielski.

Po uczcie nastąpiły śpiewy na pojedyncze głosy i chórowe: śpiewał kto co umiał i jak umiał. Co do śpiewów niewyczerpanym był nasz gospodarz ob. Łukasz Kryński, mnóstwo piosenek patriotycznych i innych ma w pamięci, z których wiele jest prawie nieznanych obecnemu pokoleniu. Namawiano, aby to spisał i ogłosił; gdyż byłaby niepowetowana szkoda, aby zaginęły. Dotychczas ogłoszone „Śpiewniki“, znacznej części tych skarbów nie wyczerpały. Na zakończenie odśpiewano z chórem pieśń naszą narodową „Boże! coś Polskę...“

Po dżdżystej nocy, zajaśniało wspaniale nasze kalifornijskie słońce, a my rozjechaliśmy się i rozeszli do domów, unosząc najmiłsze wspomnienie o jubileuszowym obchodzie zasług obywatelskich i literackich Kraszewskiego, na wyrzeźkach Spokojnego Oceanu!

Julian Horain.

Z Wiktora Hugo.

(Z najnowszego poematu „La pitié suprême“.)

V.

Ustęp ten skonfiskowała c. k. Prokuratorja Państwa.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER

(Ciąg dalszy.)

IV

Pierwszy występ dwu kandydatów.

Plan kampanji po długich sporach i rozmyślaniach tak wreszcie stanął jednogłośnie: Romolo miał się starać, wzbudzić w Federicu zajęcie dla kwestji małżeństwa; Gioachino zaś miał wziąć na siebie inżyniera Ferri i wedle możności zainteresować go Gabriellą, co do reszty: kto mianowicie otrzyma „najpiękniejszą w świecie dziewczynę“, niechaj już sobie załatwiają między sobą.

Obaj sprzysiężeni zacierali ręce zadowoleni z rezultatu swych debatów.

Nad spodziewanie Romolo, który przygotował się był na trudną walkę, nie spotkał zbyt wielkiego oporu u młodego światowca. Bądź to, że wyraz „małżeństwo“, padając z tak niezwykłej wysokości, okazał siłę, przenoszącą o wiele jeszcze przypuszczenia Gioachina, bądź że wreszcie Federico pochwyconym został w właściwej chwili, dość, że naprzód okazał nieco zdziwienia, potem śmiał się niepohamowanie, wreszcie spoważniał jakoś nagle i nakoniec wymówił obojętnie:

— Czemużby nie? Jeśli mi wynajdziesz narzeczoną!

— Już ją znalazłem!

— Nie chcę jej, bo szedłbym w zakład, że jest bogatą, piękną jak anioł i niemniej głupią.

— Bogatą nie jest, ale jest piękną jak anioł a inteligentną i sprytną jak szatanek. No, sam zobaczysz...

— Zobaczą? gdzie? kiedy? Muszę ci powiedzieć, że czekać nie mogę; mój kaprys małżeński nie ma ani kwadransa czasu do stracenia; jeśli dziś z nim nie skończymy, to nic z wszystkiego!

— Poczekaj! — rzekł Romolo wstając i zamysłając się. Przyszedł mu nagle pomysł.

— A — rzekł — dziś o szóstej masz do mnie pilny jakiś interes, musisz się ze mną widzieć koniecznie, spieszysz do mego mieszkania, nie zastajesz mnie w domu i dowiadujesz się, że poszedłem do doktora Trombety na *Via della Cerva* Nr. 11 na obiad; wtedy spieszysz na *Via della Cerva*, przepraszasz po tyśiąckroć doktora

Rocco, że tak późno nachodzisz mu dom i nie potrzeba już nic więcej.

— Pysznie! A więc o szóstej.

Federico rozśmiał się ale jakoś nieszczerze, a Romolo podążył do domu by się z Gioachinem podzielić radosną nowiną, ten wszakże przez dzień cały nie pokazał się w mieszkaniu, tak, że dopiero zeszli się z sobą na obiedzie.

Śledzenie podejrzliwemi spojrzeniami doktora Rocco, który z zachowania się swych stołowników musiał coś zmiarkować, nie mogli się nasi sprzysiężeni żadną miarą rozmówić ni naradzić; mimo to Romolo zebrał się na odwagę i po przez stół zapytał Gioachina:

— Czemuż przez cały dzień nie pokazałeś się w domu?

— Miałem niezmiernie wiele do czynienia, nigdy nie byłbym sądził, że tyle mieć będę do czynienia.

By słowem tym nadać głębsze znaczenie, Gioachino nie spuszczał wzroku z twarzy przyjaciela.

Tajemnice! — mruknął doktor Rocco — dowód złego wychowania; bo tajemnicze wyrażenia w obecności trzeciego, który ich zrozumieć nie może, dowodzą złego wychowania.

— Powiedz ojcze raczej „dyskrecji“ — zauważyła z śmiechem Gabriella.

Wraz z nią zaśmiało się całe towarzystwo.

O trzy kwadranse na szóstą rozległ się z przedpokoją trwożny jakiś cichy głos dzwonka.

— Kto to może być? — spytała Gabriella.

— Trzy kwadranse na szóstą — rzekł Romolo patrząc na zegarek.

— Za wcześnie! — zauważył Gioachino półgłosem.

— Co? Mój zegarek jest wyborym chronometrem, idzie zawsze podług kompasu, a któraż u ciebie?

— Trzy kwadranse na szóstą.

— Widzisz? — zawołał Romolo, ale potem i on nieuważnie mruknął przez zęby: — zawczasie.

Obaj przyjaciele zamienili z sobą spojrzenie a doktor Rocco, z wyciągniętą szyją wciąż we drzwi patrzący — mruknął znów: — Tajemnice! Dowód złego wychowania!

Nakoniec zjawił się służący.

— Jest tam jakiś pan, który pyta się o pana — rzekł do Gioachina.

— Już wiem — odpowiedział Romolo, co prędzej wstając i odkładając na bok serwetę...

— Toż on ze mną chce się widzieć — rzekł Gioachino — kto wie co tam znów się stało, no zaraz idę.

Romolo pozostał w oczekującej pozycji; w chwilę później zjawił się z serwetą na ramieniu Gioachino, poważny jak arcykapłan, obok niego postępował nieznamy jakiś młody mężczyzna.

— Doktorze Rocco, pozwól mi przedstawić sobie inżyniera Enea Ferri; oddawna już miałem zamiar wprowadzenia go w dom pański, a że właśnie przyszedł tu chcąc się ze mną w nagłym a ważnym interesie rozmówić, przeto...

Bardzo mi przyjemnie — rzekł doktor Rocco uprzejmie, nawpół się podnosząc z krzesła — bardzo mi przyjemnie...

Enea zapewnił, że to jego tylko spotkała przyjemność, powitał panie głębokim ukłonem a Romola przelotnem skinieniem głowy i zajął miejsce nawprost Gabrielli.

— Ten filut! — pomyślał Romolo; — jak on to zρέcznie wszystko robi! Studjuje dziewczyny

nę zewnątrz i wewnątrz i niech przepadną jeśli pierwszej ztąd wyjdzie, zanim dokładnie nie pozna wszystkie jej przymioty. A Federico nie przychodzi! Jeśli nieszczęsny zwlecze jeszcze trochę, ten lotr uprzedzi go ze wszystkim. Co za szczególniejszy jednak przypadek, że Gioachino wpadł na tę samą myśl właśnie! No, w gruncie nic to nie szkodzi... patrzcie, patrzcie... pożera ją oczyma, prowadzi swobodną, uprzejmą rozmowę... a Federico nie przychodzi!

Signor Enea ścigał spojrzeniem każdy ruch dziewczęcia, by jako prawdziwy inżynier przede wszystkim ocenić wielkość. Ale niezadowolony z rezultatu swych spostrzeżeń podniósł się, gdy Gabriella ze skromnym uśmiechem podawała mu filiżankę czarnej kawy i zauważył z wewnętrzną radością, że wierzchołek jej kruczono czarnych włosów dochodził do jego oczu. Następnie z lubością popijał kawę, oczekując stosownej chwili, by w nieobecności służącej własnoręcznie odnieść na kredens filiżankę i móżdżek na chwilę stanąć przy Gabrielli, na małą chwilkę, tylko tyle ile potrzeba na zobaczenie się obok niej w zwierciadle i przekonanie jaką też stanowiliby parę. A była to para dobrana kompletnie, model najpiękniejszej pary, jaką kiedykolwiek stworzyła wyobraźnia urzędnika stanu cywilnego lub okolicznościowego poety.

— Podoba ci się? — spytał Romolo, pochwywszy sposobną chwilę, gdy doktor Rocco zwracając właśnie do Gioachina nieuniknione pytanie: — co tam słyhać nowego? — zagajał w ten sposób zwykle czytanie gazety.

Enea wyrazistym spojrzeniem popatrzał w sufit, westchnął i odparł:

— Jeśli nie ma jakich wad utajonych...

— Jakież mogłaby mieć wady?

— Bóg to tylko wiedzieć może — a że tu chodzi o moją przyszłą żonę, nie skarzę się na to bynajmniej.

— To dobrze! — rzekł śmiejąc się Romolo — tak, to lubię, żenisz się więc...

— Jeśli zasięgnięte informacje mnie zadowolą, tak.

— Jakie informacje.

— Jeśli genealogia jej, jej rodzina... ty tego nie rozumiesz... Czem był jej dziadek ze strony ojca?

— Tak jak ty inżynierem; czegoż żądasz więcej?

— To źle... dziadek inżynier, ja sam inżynier... trochę za wiele inżynierów! Brak może żywiołu intelektualnej bezprawidłości, owego rysu wzniosłego szaleństwa, który czasami bywa znamieniem genjuszu, zawsze zaś stanowi życia przyprawę.

— Co do owego wzniosłego szaleństwa, to zapewniam cię, że go nie zbraknie, boć ty sam jesteś niem obdarzony, a sądzę, że go nie oceniasz należycie, uważając je tylko za życia przyprawę. Głównem tu jest pytanie: czy ona ładna lub nie?

— Jest piękna; któżby o tem mógł wątpić? Jest o głowę właśnie niższa odemnie, ma ciemną gorącą cerę, włos czarny, oczy pełne wyrazu, uroczy uśmiech, również, jak się zdaje, posiada wszelkie potrzebne na dobrą matkę przymioty, słowem odpowiada mi w zupełności; ale to nie wystarcza; chodzi teraz o to, jaką była jej babka ze strony ojca?

— Czyż chciałbyś przypadkiem żenić się z jej babką? Umarła już oddawna!

— Jaką była jej babka ze strony ojca? — powtórzył Enea, bynajmniej nie zderutowany.

Romola na serjo poczęła już niepokoić myśl, że w jego przyjacielu zbyt wiele może być owej „życia przyprawy“, gdy naraz ozwał się znów z przedpokoju dzwonek.

— To on! — pomyślał Romolo, i tym razem był to on rzeczywiście, Federico. Zdaje mi się, że doktorowi Rocco z niezmiernym trudem przyszło stłumić wybuch śmiechu, gdy słyszający przyniósł wieść, że nowo przybyły nieodzwownie musi widzieć się z Romolem i że Gioachino użył gazety w rodzaju maski, by ukryć swą wesołość, ale wszystkiego tego nie mogą utrzymywać na pewno.

Wkrótce potem wszedł Federico, wprowadzony przez Romola.

— Pan Federico Melli, nasz serdeczny przyjaciel — wymówił tenże — z powołania światowiec.

Federico skłonił się swobodnie:

— Dzięki za przedstawienie!

Ale w koło ust zaigrał mu drwiący uśmiech, a jego obejście się robiło takie wrażenie, jakby dojrzały człowiek zniżał się do zabawy z dziećmi.

Nagle stał się cud; doktor Rocco powstał, postąpił na przeciw gościa, ujął jego rękę i powitał z najuprzejmiejszym uśmiechem.

— Federico więc wydany w ręce doktora! — pomyślał Gioachino.

I w rzeczy samej doktor, jak się zdawało, nie miał najmniejszego zamiaru z rąk go wypuścić; przez chwilę patrzył mu prosto w oczy a potem zmusił, by naprzeciw jego fotelu zajął miejsce. Młody człowiek poddał się swemu losowi niedbale jednak i nieco ironicznie nawet; potem przebiegł oczyma cały pokój dokoła bezcelnie, aż wreszcie z wyzywającym wyrazem zatrzymał je na dziewczęciu; nagle przecież drwiący wyraz ustąpił z jego twarzy a cień przemknął mu po czole; Gabriella bowiem, która przez jakiś czas ignorowała natrętne jego przypatrywanie się, postąpiła teraz nieco bliżej i zmierzyła go ze swej strony chłodnym spokojnej ironji spojrzeniem.

— Gabriello! — rzekł doktor — chodź-że, usiądź tu przy mnie.

Gabriella jednak jakby z umysłu nie postyszała tego, odwróciła się i wyszła z pokoju w milczeniu.

Inżynier siedząc w kącie, westchnął jak miech kowalski i zbliżył się do kominka.

— Proszę, panowie, bliżej, usiądźcie wygodnie — ozwał się doktor Rocco — przysuń się pan do ognia... musi dziś być straszliwie zimno.

— Dziękuję, mnie nie zimno.

— Słuchaj tu tych młodych! „Dziękuję, mnie nie zimno!“ I ja tak mówiłem, gdym był w pańskim wieku.

Inżynier pojął natychmiast ten delikatny wstęp do egzaminu, i odpowiedział bez wahania:

— Ja mam lat trzydzieści pięć! śliczna epoka! Śliczna! — dodał doktor patrząc na Federica, ten przecież lekkim skinieniem głowy tylko potwierdził jego zdanie. Nie zwracał uwagi na rozmowę, myśl jego zajęta była młodą dziewczyną i jej nagłym wyjściem. Nie była ona pociągającą, przeciwnie, miała coś antypatycznego, ale byłże to powód, by ją obrażać wyzywającymi spojrzeniami i szyderczymi uśmiechami? Jakież miał do tego prawo? Był niesprawiedliwym... niesprawiedliwym? nie, przecież nie, toż spostrzegł zaraz, że i on nie wydał się jej ani pięknym, ani sympatycznym. Odplacił jej więc tylko równą miarą.

Pomógł się, nic więcej, a to sprawiało mu przyjemność, bo pod maską chłodnej, bezsercowej ironji, kryło się u Federica nie jedno czyste, szlachetne uczucie, buntujące się przeciw konwencjonalnej powszedniości postępowania.

— „Hiszpanja“ — czytał Gioachino i słowu temu nadał pewien osobliwy nacisk, jakim zwykle zaznacza się wielce ważny jakiś ustęp, potem w oczekiwaniu wrażenia obejrzał się w milczeniu po obecnych.

— Panowie są z Medjolanu? — spytał doktor Rocco.

— Z Medjolanu — odpowiedział Federico niedbale.

— Z Medjolanu — odpowiedział Enea z godnością;... i ojciec mój pochodził z Medjolanu; ale matka nie.

Te ostatnie słowa wymówił z tak dziwną intonacją, że doktor Rocco póty się nie mógł uspokoić, póki się nie dowiedział z kąd pochodziła matka inżyniera.

— Matka moja była Rosjanką, ale w jej żyłach płynęła w połowie krew hiszpańska — ciągnął dalej Enea z tryumfującą skromnością; — dziadek mój bowiem był Rosjaninem a babka Katalonką. Czasami — dodał z uśmiechem, zapobiegając tem powątpiewaniu słuchaczy, czasami też czuję jakiś prąd gorący we krwi, to krew katalońska.

— To twoja babka... — zauważył Federico z komiczną powagą.

Enea zaśmiał się, zaśmiał doktor Rocco, a nawet Tranquillina, jakkolwiek Romolo z niezwykłym u niego śmiałą strategią zasadził ją w róg pokoju, by tam spytać, czy zawsze była szczęśliwą. I Gioachino w swej Hiszpanji, słyshał całą rozmowę i śmiał się teraz niepohamowanie.

Na tę chwilę śmiechu weszła Gabriella; idąc za jakimś bezwiednym popędem, piękna dziewczyna opuściła była towarzystwo, i udała się do tego cichego pokoiku, co znał najtajniejsze jej myśli; tam postawiła światło na stolczku i przez chwilę stała w pośrodku nieporuszenie, jakby zadawała sobie samej pytanie: „Co teraz?“ Potem wzrok jej obiegł do koła pokoik, pytając o odpowiedź tych drogich ścian, z którymi zrosło się serce; ściany przecież pozostały nieme; nakoniec zdecydowała się na powrót ale dziwnie zamysłona, jakaś dziwnie trwożna stanęła na progu salonu.

— Gabriello! — rzekł doktor Rocco, przyjdź tu, siądź przy mnie...

Federico i Enea rozsunęli krzesła, by jej zrobić miejsce; a Gabriella usiadła swobodnie pomiędzy ojcem a panem Ferri.

Gioachino z po za gazety poglądał baczenie, by nie stracić najmniejszego szczegółu — potem powtórzył donośnym głosem: — Hiszpanja, ale nikt nie zwracał na to uwagi, a on radośnie zatarł ręce.

Doktor Rocco więc trzymał w swem ręku wątek rozmowy i w przeświadczeniu połączonej z tem odpowiedzialności nie zawahał się po raz trzeci wyrzec wielkiej tej prawdy, że „dziś straszliwie jest zimno.“

— Rzeczywiście, straszliwie — rzekł Enea.

— Ah, okropnie — przywtórzył Gioachino.

— Pan Romolo tylko tego nie czuje — ciągnął doktor, ... popatrzcie no na niego panowie, posiada on zazdrości godne ciepło... jakie ciepło... nieprawdaż, Tranquillino?

— Co, pan mówiles? — spytał Romolo pomieszany.

— Mówiłem, że z pana mały wulkanik, a to przecież nie przynosi panu ujmy, boć można być wielkim pocziwcem a obok tego małym wulkanikiem.

— Na szczęście okazało się, że w szeregu przodków inżyniera znalazł się taki właśnie, i to uwolniło biednego Romola od odpowiedzi.

Doktor Trombetta z poddaniem słuchał nieskończonych rodzinnych historii inżyniera, ale od czasu do czasu rzucał niespokojne spojrzenie na milczącego Federica, bo dla niego tylko wyjął dziś odświętny surdut, drzemiący od niepamiętnych czasów w głębinach szafy, dla niego przywdział odświętną swą minę; nie sposób już było wątpić, że doktor Rocco zrobił wybór i że namyślał się tylko nad słowami, mającymi ujawnić skłonność serca.

— A pan, kochany panie Federico, — rzekł, gdy nakoniec Enea zamilkł — czy nie masz również pokutującego ci we krwi jakiego przodka? Nie czujesz że nigdy jakiegoś wróżącego naddziada lub jakiejś ognistej babki w twych żyłach?

— Nie — odparł młody człowiek z wymuszonym uśmiechem, nie wiem nic o nich przynajmniej; nigdy nie troszczył się o to, ale proszę badać...

— Nigdyś się o to nie troszczył — przerwał mu Enea, nie spuszczać oka z Gabrielli, bo w sobie samym upatrujesz początek i koniec twej ekzystencji, podczas gdy rzeczywistość myśmy już żyli w zamierzchłej przeszłości i żyć będziemy po wielu jeszcze wiekach. Możesz być pewnym, że w ten sposób zmartwychpowstaniesz, pierwiastkowo tylko w ułamkach, z czasem wszakże całkowicie z jednej sztuki, takim jakim byłeś, w postaci jakiegoś potomka, który posiadać będzie nietylko twój temperament ale wszystkie twe zalety i słabości.

— Alboż ja mam jakie słabości? — spytał Federico; a inżynier odpowiedział spokojnie?

— Masz zalety i słabości któregoś z twych przodków, który prawdopodobnie żył przed stoma laty przeszło. Między moimi przodkami naprzykład był jeden genialny, istny cud uczoneści... a ja wielką do tego przywiązuję wagę, bo któż wie, i syn mój może być geniuszem. Z drugiej znowu strony statystyka dowiodła, że synowie odziedziczają krew matek i zazwyczaj całkowicie lub częściowo przynajmniej wdają się w babki ze strony macierzystej.

Naprzód zaśmiał się Federico, obaj inni poszli za jego przykładem; Gabriella tylko się nie śmiała ale była poważniejszą daleko niż tego wymagała zwykła towarzyska przyzwoitość.

— Co do moich przodków, zauważył następnie Federico, to pamiętnymi mi są tylko dwaj dość smutni antenaci; prawdopodobnie wśród nich musieli być i zadowoleni, ale owi dwaj jakoś głośniejsi byli od wszystkich innych i dla tego przyczepili się do mej pamięci. Jeden pewnego pięknego poranku rzucił żonę i dziecko i zniknął gdzieś bez śladu, a drugi czterdziestoletni kawaler, rotmistrz w którymś kawalerskim pułku zaprzagnął umrzeć. Mógł sobie sprawić tę przyjemność w bitwie, w pojedynku, wreszcie szabla lub pistolet byłyby mu usłużyły w tej mierze; ale nie, zgadnijcie państwo, co zrobił? Kupił sobie brzytwę i poderzwał gardło.

— I czemu? — spytał Enea.

— Brawo? Czemu? Na tamtym świecie spytam go o to, mam przecież nadzieję, że dla krewnego nie będzie miał tajemnic.

Temat był niewesołym ale słowa w tak lek-

kim rzucone były tonie, że wszyscy zaśmieli się na nowo.

— „Hiszpanja!“ — czytał Gioachino po raz trzeci, by niemiłosiernie przerwać temat rozmowy.

— Bądźże pan tak dobrym i daj nam dziś pokój z Hiszpanją, prosił doktor Rocco z niezwykłą łagodnością; lepiej poszukaj „wiadomości miejscowych“, musi w nich być coś bliższego o wczorajszym samobójstwie...

— A prawda o tym człowieku, co utonął w Naviglio!

— Tak, naturalnie!... Odwróć no pan gazetę... tak! Popatrz tam, zaraz na trzeciej stronie, musi tam być niezawodnie „Wczorajsze samobójstwo“, lub „Ofiara Naviglio“ lub coś podobnego. Prośba zawsze skutkuje, cóż też dopiero gdy tak miodowym uczyniona jest tonem i Gioachino tak nią był zmiękczone, że bez wielkiego trudu wyszukał życzone miejsce; równocześnie zaś dwaj kandydaci nabrali przekonania, że kto ożeni się z córką, zostanie szczęśliwym zięciem najłagodniejszego w świecie człowieka.

Gioachino znalazł więc ów ustęp, i okazało się, że powody, które skłoniły pana C. G. urzędnika jednego z banków, do samobójstwa, nie zostały dotąd jeszcze wyjaśnione. Był on kawalerem, miał lat czterdzieści, dobrą posadę i cieszył się wybornym zdrowiem; w portfelu jego znaleziono banknot na tysiąc lirów i list bezimienny, do niego adresowany, zawierający te tylko słowa: „Kocham cię, odwagi!“

Nikt nie umiał nic sobie z tego złożyć. Gioachino zapewniał, że przedewszystkiem nie może pojąć jakim sposobem człowiek w kwiecie wieku, młody człowiek...

— Młodzieniec — podszepnął doktor Rocco.

— Powiedzieć można młodzieniec, może pomyśleć o odebraniu sobie życia zanim jeszcze żyć począł.

Romolo natomiast oświadczył stanowczo, że człowiek który w swym pugilaresie nosi czarno na białem: „Kocham cię, odwagi!“...

— I bilet bankowy na tysiąc lirów — odpowiedział doktor Rocco.

— A obok tego bilet tysiąc lirowy, że taki człowiek bezwarunkowo nie może mieć nic wspólnego z wodami Naviglio.

Doktor Rocco wreszcie orzekł, że panu C. G. brakło wszelkiego uzasadnionego powodu do samobójstwa skoro był zdrow i skoro, co za tem idzie, nie mógł się żalić ani na reumatyzmy, ani na podagrę, ni na bezwładne ramię nawet.

— Jeden miał on przecież powód! — zawołał inżynier Enea z naciskiem.

— Jakiż to?

— Był starym kawalerem!

Doktora Rocco, Gioachina i Romola tak zadziwiła ta głęboka uwaga, że, niemal równocześnie wyrazili mniemanie, iż stare kawalerstwo jest i musi być w pewnych wypadkach... albo może być przynajmniej...

Na twarzy Federica zaigrał znowu ów dziwny, złośliwy uśmiech, z tym uśmiechem popatrzał on w twarz Gabrielli, która nie zdołała ukryć swego pomięszania.

Ale natychmiast niemal zaciejszy prąd jego duszy wziął górę; zląkł się i nie bez słuszności, że sprawił przykrość dziewczynie, która najniewinniej w świecie mimo wiedzy i woli została bohaterką tej farsy i dla tego też starał się o ile możliwości zatrzeć przykre wrażenie poprzedniego swego postępowania, porówno z innymi wyrażając swe zdanie w podniesionym przedmiocie.

— Mnie krok pana C. G. wydaje się na zupełnie naturalnym, — rzekł — skoro był zamożnym i nie znał ni fizycznych, ni moralnych cierpień, cóż miał dalej robić na świecie? Prawdopodobnie nudził się; a że nie znał co to cierpienie, nie dziw że nie był w stanie odczuć radości. Przypuszczają należy, że była to jedna z tych chybionych ekzystencji, co przez cały ciąg życia idą na oślep po przez mgłę cygarowego dymu, co krok macając w ciemnościach; i całe jego bogactwo nie mogło mu dać tego, czego bezwiednie wciąż szukał: samego siebie...

Umilkł na chwilę.

— Znam takiego samego młodego człowieka, nie, także same stare dziecko, co żyje już długo, co przeżyło wiele, a jednak ani na chwilę nie żyło górnieszem jakimś, lepszym życiem; i tamten jest zamożny, zdrow, w kwiecie wieku i zawsze niemal nosi w pugilaresie po tysiąc lirów; wprawdzie dotąd nie rzucił się on w Naviglio ale prędzej lub później zrobi to niezawodnie. Gdy ktoś odbiera sobie życie, pytacie: czemu to zrobił? Odwrotnie, wartoby was, co życie spytać: czemu życie jeszcze? Powiedz mi ty, Gioachino, i ty, Romolo a i ty nawet mój Eneo, czemu dotąd nie rzuciliście się w nurty Naviglio?

Zagadnieni spojrzeli po sobie zdumieni; następnie Enea w imieniu wszystkich odparł, że aby odpowiedzieć na podobne pytanie, trzeba by chyba myśleć nad tem całe życie.

— Ja sądzę...

Wszyscy zwrócili się ku Gabrielli, której te słowa wymknęły się niemal mimowolnie. Na twarzach wszystkich odbiła się życzliwa ciekawość, młoda dziewczyna przecież zająknęła się.

— Mów pani, mów! — prosił Federico.

Gabriella zarumieniła się a potem poczęła mówić z pewną przymieszką szyderstwa.

— Sądzę, że ludzie wiodący życie próżniacze nigdy nie mogą odnaleźć siebie, bo jak stado owiec biegną oni na oślep jedni za drugimi, nie zdając sobie z swych czynów sprawy, nigdy nie zastanawiając się poważniej nad sobą; mnie zdaje się, że życie jest walką, do której każdy wystąpić musi opancerzony, że próżniacy tylko padają pod pierwszym ciosem, i że cios ten dąłby się wynaleść w każdym niemal samobójstwie.

— Cios ten — odparł z cicha Federico — cios ten to tylko sposobność; przyczyna istniała tam już poprzednio, przyczyną tą nuda, straszliwa nuda, los ich...

— Frazesy, czcze słowa! — przerwała mu Gabriella — cóż to jest nuda? to próżniactwo; przypatrz się pan, proszę bliżej tym biednym śmiertelnie znudzonym, są to zazwyczaj tylko bogate próżniaki.

— Brawo! — zawołał inżynier Ferri, który podniósł się był z swego krzesła. Gabriella raz jeszcze powtórzyła z naciskiem „Próżniaki!“ a Enea raz jeszcze zawołał z zapalem: „Brawo!“ potem usiadł napowrót i zatarł zadowolony ręce.

— Brawo! — zawołał wówczas i doktor Rocco, a zwracając się do inżyniera dodał: świętej pamięci babka pana — przemówiła w tej chwili pańskimi ustami.

— Twe stare dziecko — zauważył Enea z zwyciężkim wyrazem politowania zwracając się do Federica, na którego usta znowu powrócił bolesny uśmiech — twe stare dziecko, co się dotąd nie rzuciło jeszcze w nurty Naviglio, pewnie nie jest kochanem; bo miłość jest życiem, a kto kocha posiadał życia siłę.

— Moje stare dziecko — odpowiedział Federico — kochało i było kochanem; dziś ono już nie kocha, a mimo to może bywa kochanem. Miałożby właśnie owo przeświadczenie, że się jest kochanym obok niemocy ukochania budzić taki przesył życiem?... Nie wiem, ale moje stare dziecko otrzymuje również bezimienne listy, zmienianem kresłone pismem; ma współczujące przyjaciółki, co się starają je rozrywać, tajemniczymi swymi intrygi urozmaicając mu nieco puste życie, wyrывая na chwilę z próżniactwa i zobojętnienia.

Ze zaś nikt nie podjął dalej wątku rozmowy — Federico spojrział na zegarek i podniósł się; potem pożegnał jak najprzejmiej gospodarzy i prosił o pozwolenie powtórzenia swych odwiedzin, gdy przecież wyciągnął rękę do Gabrielli, ta udała, że nie zauważyła jego giestu i pożegnała go chłodnym ukłonem.

Zaledwie kandydat Nr. 1. wyszedł za drzwi, a już Enea położył mu litośny grobowy napis oświadczając, że Federico „w gruncie“ jest wybornym chłopcem.

Rozmowa nie szła już jakoś. W kwadrans później Gioachino i Romolo szli ulicą *Via della Cerva*; Eneę wiedli w pośrodku, oddając hold, należny skromnemu zwycięzcy. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(Józef Rogosz. *Choroby Galicji w latach od 1866 do 1878. Serja nowa. Lwów 1879*).

Pierwsza część tego dzieła wydana w zeszłym roku, zrobiła w inteligentnych kołach nie małe wrażenie. Autor w sposób lekki, powieściowy, nie mniej jednak dokładny i sumienny, przedstawił w niej liczne wady naszych stronictw, wychłostał niemilosiernie kilka zacofanych i szkodę przynoszących instytucji, np. loterję i przedstawił kilka trzeźwych i rozumnych projektów do wydzwignięcia kraju z moralnego i materialnego upadku, w jakim się znajduje. Głos taki, szczery, choć nie odnosi bezpośredniego skutku, przyczynia się jednak nie mało do rozświecenia sytuacji, porusza umysły z apatji i pobudza do samoistnego zastanawiania się nad stanem kraju. Jest to niezaprzeczona zasługa. Serję nową „Chorób“, którą mamy przed sobą, podzielił autor na trzy rozdziały: I. Handel i przemysł, II. Na wsi i III. Lichwa uprzywilejowana. Będziemy się starać dać z każdego treściwe sprawozdanie.

Handel nasz upadł, przemysłu nie mamy żadnego: to fakt niezbity. Kto temu winien? — Zwykła odpowiedź na to pytanie brzmi: my sami. Jest w tem pewna, ale mała tylko część prawdy, Galicja przed przejściem pod panowanie austriackie miała jak na owe czasy wcale rozwinięty handel. Jarosław, Brody, Tarnopol, były to targowiska pierwszorzędne, na które zjeżdżali się kupcy z całej Europy, i ze Wschodu. Przemysłu fabrycznego nie było, ale natomiast był niemały przemysł domowy, który zaspokajał niemal wszystkie potrzeby kraju. Austrija dostawszy Galicję pod swoje panowanie, rozpoczęła w niej gospodarę taką, jaką prowadzi zły dzierżawca, a nie właściciel. Wysysać wszystkie soki żywotne, i wzbogacić chlebobojną Galicję inne ludy monarchji, oto było hasło, które przyświecało biurokratom rządzącym tym nieszczęśliwym krajem. Przemysł nigdzie się nie rozwi-

nał bez pomocy rządu: w Galicji rząd nie tylko tego przemysłu nie wspierał, ale owszem wygórowanymi podatkami i szykanami biurokratycznymi prześladował go na każdym kroku. Oto niektóre dosadne przykłady... Pewien zamożny obywatel w obwodzie Jasielskim kupił od rządu przed kilkudziesięciu laty pozwolenie na założenie fabryki wyrobów bawełnianych w dobrach Nowsie, zbudował wielkim kosztem zakład fabryczny i puścił w ruch. Jak długo fabrykował, nic nie mówiono, lecz skoro zaczął sprzedawać, zabroniono mu tego, odwołując się do patentów z r. 1777, 1784 i 1789, które mówią o stemplowaniu towarów tak krajowych, jak zagranicznych, w moc tych patentów wszystkie wyroby jego fabryki kazano mu przed sprzedażą posyłać do Wiednia do ostemplowania. Ponieważ koszt tej podwójnej przesyłki w czasach kiedy nie było kolei żelaznej znacznie przewyższał wszelki zysk fabryczny, więc właściciel wolał zamknąć swój zakład kosztowny, niżeli narażać się na stratę nieochybną... W Załóżkach przed laty kilkudziesięciu właściciel kupiwszy także pozwolenie, założył wielką fabrykę przednich sukien. Przygotowawszy wszystko, doniósł władzy, że wkrótce ją ma otworzyć. W odpowiedzi otrzymał rozkaz płacenia rocznie 10.000 guldenów. Po obliczeniu okazało się, że fabryka przy najświetniejszym powodzeniu tak wielkiego zysku przynieść nie może, to też nie otworzono zakładu... Gdy hr. Henryk Dzieduszycki postanowił założyć wielką cukrownię, rząd odpowiedział, że nie ma przeciw temu; zażądał jednak równocześnie, ażeby hrabia złożył kaucję za wszystkie mosty z Wiednia do Tłumacza, ponieważ łatwo może się wydarzyć, że pod ciężarem machin wiezionych z Wiednia do Tłumacza, który most się zawali... Czyż wobec takiego macoszego traktowania rządu, wobec tak rafinowanego prześladowania, mógł przy najlepszych chęciach mieszkańców, rozwinąć się przemysł krajowy? Każdy odpowie: nie. A cóż dopiero jeśli zważymy na inne wewnętrzne przeszkody... Jedną z pierwszych przeszkód w zdrowym rozwoju przemysłu i handlu są Żydzi, którzy hołdują tej samej zasadzie, co dawniej rząd austriacki: wyeksploatować do końca, napęlić kieszenie martwym kruszczem, a potem przerzucić się na inne pole. Żyd nigdy nie jest dobrym kupcem i jest on zawsze tylko faktorem. Sprzedać towar zły, ale prędko i dobrze, oto maksyma semickich handlarzy. System ten przynosi nieobliczone straty dla kraju i dosyć powiedzieć, że u nas droga od producenta do konsumenta, jest najdłuższą i dla tego nawet produkta krajowe są u nas droższe niż zagranicą. Jak Żydzi pojmują przemysł, dowodzą fabryki przez nich dzierżone. Wyzyskują robotnika, eksploatują bez miłosierdzia przedmiot swego własnego przemysłu, słowem rozsiewają wszędzie pustkę i zniszczenie. My z naszej strony wskutek ogólnej apatji straciliśmy niemal zupełnie zmysł do handlu i przemysłu, a nielicznych naszych przedsiębiorców i kupców życie nad stan i fałszywe pojęcie konkurencji przyprowadza do ostatecznej ruiny. Takimi smutnymi, ale niestety prawdziwymi szczegółami wyjętymi z dzieła p. Rogosza moglibyśmy kilka szpalt zapęlić, ograniczyliśmy się tylko na najważniejsze punkta. Autor w celu podniesienia handlu i przemysłu, żąda następujących rzeczy: 1) zasilenia przemysłu w Galicji przez rząd odpowiednimi kapitałami; 2) Zaprowadzenia cła ochronnego od Kongresówki(?), Niemiec i Węgier; 3)

zniesienia, a przynajmniej znacznego niżenia na pewien czas, wszystkich opłat od nowo powstających fabryk i większych warstatów, również uwolnienia od podatków zawiązujących się spółek i towarzystw zaliczkowych; na koniec 4) szkół fachowych, a przedewszystkiem, wielkiego Zakładu finansowego dla handlu i przemysłu. Któż się nie zgodzi na to wszystko, ale któż nie przyzna zarazem, że wymagać tego od obecnego rządu pozostanie na zawsze *pium desiderium*? Według nas tylko zmiany polityczne mogą podnieść nasz przemysł i handel, bez nich będziemy tylko mogli działać półśrodkami, a te do wielkich rezultatów doprowadzić nie mogą.

(D. n.) B. Cz.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Już to my Polacy mamy w sobie coś ptasięgo. Niech tylko przyjdzie wiosna, to zaraz panie zaczynamy wyciągać i prostować swoje skrzydła, aby tylko gdzieś polecieć, przewietrzyć się i tak pobujać w przestworzu. Mówiąc o tem mam właściwie na myśli księdza Stojalowskiego i zapowiedzianą przezeń wędrówkę do grobu świętego Stanisława na Skalkę jako w ośmsetletnią rocznicę jego śmierci, pielgrzymkę na którą wzywa na dzień 8 Maja do Szczepanowic i do Krakowa. Nie mielibyśmy nic przeciw temu wiecowi ludowemu u stóp Wawelu, gdyby nie wiosenne roboty przy spóźnionych tegorocznych siewach i koszta takiej podróży na korzyść akcjonariuszów kolei Karola Ludwika tudzież garkuchni krakowskich. Kilka set dni zmarnowanej pracy i parę tysięcy guldenów także zmarnowanych wobec powszechnej biedy naszej, możnaby daleko korzystniej użyć nienaprzekazując się świętemu Stanisławowi, który bądź co bądź jest także krakowianinem, a zatem nie bardzo sprzyjającym wszystkiemu co pochodzi ze Lwowa. Ksiądz Stojalowski z przeszłorocznych wieców mógł się przekonać, że niekoniecznie byli mu tam radzi pod Wawelem kiedy się zjawił z gromadami chłopców. Sądźmy przeto, że mogłby daleko zręczniejszą sprawę polską u św. Stanisława załatwić sam jeden, zabrawszy jeneralny mandat u swoich zwolenników, czegoby mu pewnie nie odmówiono. Szanowny przywódca ludowych pielgrzymek musi wiedzieć, że w tej chwili jesteśmy cokolwiek na bakier z Krakowem... prawdę powiedziawszy nawet trochę gorzej jak na bakier, ot tak nieprzymierzając jak pies z kotem. Sprawa z secesjonistami jakoś uciekła, ale pogniewaliśmy się znowu o cara... Czas powiada w imieniu znacznej większości narodu polskiego, że Polacy jako tacy stać zawsze będą przy porządku społecznym i bronić wszelkich praw Boskich i ludzkich wobec socjalistów i rewolucjonistów moskiewskich, to jest, że gotowi jesteśmy bronić tronu samowładnego pomazańca schizmatycznego, od wszelkich Sołowiewów. Nam tu we Lwowie, którzy także mamy się za większość, podobnie nierycerski brzęk szabli nad Wisłą wydał się głosem Imci Pana Filipa z Konopi i zaczęliśmy pomrukiwać, że zakładamy veto przeciw tej gotowości wojennej na obronę carskiego porządku społecznego, bo przecie na co nam się mięszać do cudzych spraw i niebędąc ciągnionymi za język wynurzać się z naszymi uczuciami. Przytem znamy się dobrze na tym porządku społecznym Jego cesarskiej Mśc

Aleksandra IIgo, w imię którego jeszcze kilkadziesiąt tysięcy braci naszych tuła się po puszcach syberyjskich. Nie możemy również zapomnieć tysiąca szubienic, setek księży i biskupów stękających tam gdzieś po miastach moskiewskich podobno już od lat piętnastu. Daruje nam przeto szanowny organ krakowski, że nas nie świerzbli ręka, i że nie mamy ochoty *gnieść* tych inaczej od niego myślących o społecznym porządku... W tym względzie cokolwiek inne mamy wyobrażenie o prawach Boskich i ludzkich, tak coś podobne do pojęć księdza arcybiskupa Felińskiego, który wypowiedział w sławnym liście swoim do cara, i za które kilkanaście już lat z godnością niewolę swoją znosi. Te wszystkie kokietyjne umizgi do cara dalibóg na nic się nie zdadzą; moskiewski porządek społeczny umie tylko kopać nogą suplikantów, czego najlepszy dowód, że Jego Cesarska Mość mimo takiej gotowości wojennej, mimo tak pięknego adresu, mimo że w Kongresówce tak cicho jakby makiem zasiał, oddał hr. Kocebuemu miecz życia i śmierci i pozwolił mu znowu administracyjnym porządkiem wysłać podług humoru z jakie kilkadziesiąt tysięcy Polaków do Rosji, żeby buntu nie robili. Rząd Jego Cesarskiej Mości trzyma się tam zasady owej, aby bić Polaków czy się buntują, lub nie buntują: jeżeli się buntują to będzie kara, a jeżeli nie, to będzie przestroga aby na złą drogę nie wchodzili.

Otóż musimy przyznać że nie udał się krakowskiemu organowi ten adres do Cara i radzi byśmy aby ta wyidealizowana chęć jego nadstawiania drugiego policzka kiedy w jeden uderzą, to oddawanie chlebem za kamień, zwróciło się trochę bliżej niż do Petersburga, tak naprzykład do nas tu do Lwowa. Powiedzianiem jest w piśmie świętem, że jeżeli chcesz ofiarować panu dar jaki, a bliźni twój gniewa się na ciebie, — to złóż ten dar na stole i idź wprzód pogodzić się z bratem twoim. A kiedy się już pogodzisz, to wtedy zabierz ten dar i ofiaruj go panu. My tak wiele nie żądamy, my zwyczajni śmiertelnicy czytający dzień po dniu zjadliwe wzajemne dogryzki prasy krakowskiej z lwowską... My chcemy tylko spokoju i taktu i przyzwoitości w polemice... Dalibóg mamy tego wszystkiego póty... i dlatego nie chcemy być tymi żydami, których furmani z przywiązania biją?

Szczęście, że wiosna już przecie zawitała do nas na prawdę z grzmotami i błyskawicą, i że oczyści powietrze z tych zimowych miazmatów stańczykowskich pozwalając nam cokolwiek weselej spojrzeć na ten piękny świat Boży... A kiedy mamy czas potemu i ciepło, więc idziemy na wysoki Zamek i rozglądamy się do koła z kopca Unji, który niestety jakkolwiek nie brał żadnego udziału w polemikach gazetarskich, jednakże mocno ucierpiał przez zimę... Roztopy wiosenne nadwreżyły bardzo jego burty kamienne, dlatego wartoby aby mu jakos przyjsć z pomocą. Siły pojedynczego człowieka, który sam jeden broni i podnosi ten kopiec od lat tylu, nie wystarcza, a ponieważ słyszeliśmy, że na 3go Maja zanosi się na obchód tej pamiętnej dla dziejów naszych rocznicy ustanowienia konstytucji, a zatem czyby nie wypadalo połączyć go jakos ze sprawą kopca, żeby zebrać odpowiedni fundusz na zreperowanie uszkodzeń.

Koncerta, odczyty i przedstawienia amatorskie już kończą swój żywot, nawiedzając nas od czasu do czasu jak odgłos przechodzącej bu-

rzy. Piąty koncert Towarzystwa muzycznego wypadł świetnie, podobnie jak poprzednie. Pierwsze przedstawienie amatorskie na dochód stowarzyszenia Dam dobroczynnych przyniosło nie mały dochód, za to drugie nie pokryło kosztów urządzenia, choć program jego mógł zainteresować szerszą publiczność. Przedstawiono dwie sztuki, jedną francuską, drugą tłumaczoną z francuskiego i musimy przyznać, że przedstawiono je z całą precyzją, wdziękiem i werwą, jakiej od amatorów spodziewać się nie można było. Odczyt p. Gustawa Fiszera przez niego napisanej humoreski, może nie wypadł tak dobrze, ale przez wzgląd że to jest pierwsza praca na tem polu ulubionego artysty, publiczność przyjęła ją życzliwie. Pan Fiszera ma talent humorysty i sama rzecz traktująca kłopoty księdza proboszcza z malarzami, których mu niefortunnie faktor z miasta nastęrczył do malowania plebanji, byłaby niezłą, gdyby autor nie wdał się w zbyt drobiazgowo przedstawienie tego faktu, co naturalnie musiało osłabić siłę komizmu i humoru, tkwiącego w sytuacji. Lecz pan Fiszera nie powinien się zrażać tą pierwszą próbą i pracować dalej, studjować wzorowych pisarzy, a mamy nadzieję, że talentu swego i daru postrzegawczego słabostek i ułomności ludzkich nie zmarnuje.

W końcu muszę udzielić czytelnikom, pewne porównawcze spostrzeżenie co do Lwowa, ze świeżem rozporządzeniem generała Hurki w Petersburgu, co do ustanowienia stróżów domowych na koszt rządu. On chce za pomocą tych ad hoc argusów oczyścić domy z nihilistów, a my tu we Lwowie mamy skromniejsze żądania, chcielibyśmy się pozbyć prozaicznych smieci manifestujących się szkodliwie dla naszego nosa. Więc gdyby tak szanowny Magistrat chciał pod tym względem ogłosić stan wojenny, niechybnie nie mieli przeciw temu, prócz wdzięczności...

TEATR.

Po świętach rozpoczął się sezon przedstawień beneficjowych. W zeszłym tygodniu mieliśmy trzy benefisy: pp. Ładnowskiego (Król Lear), Zamojskiego (Staroświeczyzna i postęp czasu), i pani Bossi (Afrykanka). Pod względem udziału publiczności, najlepiej wypadło przedstawienie na dochód p. Ładnowskiego; widocznie publiczność, w której żywej pamięci tkwi potężna kracja Rossiego, chciała porównać grę obu artystów, nie pomna starej a prawdziwej maksymy, że *comparaison nest pas raison*. P. Ładnowskiemu brak wielu warunków, aby mógł być Learem, bez zarzutu, a mianowicie imponującej, królewskiej postawy i odpowiedniej siły głosu, mimo to jednak głęboka inteligencja artysty potrafiła wlać w tę rolę tyle prawdy, przeprowadzić ją z takim ciepłem i konsekwencją, że każdy musiał w duszy złożyć hołd dla talentu, który nie wsparty darami natury, własną siłą manifestuje się w sposób tak wspaniały. Otoczenie beneficjanta było bardzo słabe; widać, że nasi artyści odwykli od utworów klasycznych — kostjum im cięży, deklamacja zamiast zapalać, męczy. Najlepszym jeszcze był p. Kwieciński w roli błazna odpowiednej dla jego lirycznego talentu. P. Zamojskiemu, który z pomiędzy wszystkich artystów, jest bez wątpienia najwięcej lubianą i popularną osobistością, benefis nie udał się dobrze. Przyczyną tego był po części wybór sztuki, znanej a nie mającej głębszej artystycznej wartości, po części zaś piękna, wiosenna pogoda, zabrała publiczność na przechadzkę... Benefisanta przyjmowano bardzo sympatycznie, bo też i zasługuje na to. Artysta to w całym tego słowa znaczeniu, talent oryginalny, rutyna niepoślednia, a w rolach kontuszowych przypomina czasami nieporównanego Jana Nowakowskiego. Kto miał sposobność widzieć tego mistrza w rolach szlachciców, ten przyzna, że przyznanie miniaturowego nawet podobieństwa do niego, służy za

wszystkie pochwały. O benefisie pani Bossi tyle tylko mamy do zanotowania, że artystka dnia tego miała chrypkę i otrzymała kilka przepysznych bukietów i wieńców. Przedstawienie poszło gładko; na szczególną wzmiankę zasługują i pani Skalska i pp. Zakrzewski, Koncewicz i Borkowski. Słabym, jak zwykle był p. Graciozi, którego głos coraz bardziej sztywnieje i który więcej krzyczy niż śpiewa.

Przedstawienia beneficjowe przeplotła dyrekcja francuskim dramatem K. Lomon p. t. „Jan Dacier“, przełożonym przez panią Sewerynę z Żochowskich Duchyńska. Tłem dramatu są burzliwe czasy wielkiej rewolucji francuskiej, która wydała tylu wielkich ludzi, zrodziła tyle potężnych charakterów. Ton dramatu jest w wysokim stopniu poetyczny i podniosły, ustępy są przepyszne, całość jednak zasługuje raczej na nazwę poematu scenicznego niż dramatu. Główną wadą sztuki jest to że autor zanadto widocznie robi ze swoich bohaterów reprezentantów pewnych idei, a za mało zważa na to, aby byli ludźmi. To też niektóre sceny rażą nienaturalnością, a długie choć piękne tyrady w miejscach tragicznych, wymagających żywego dialogu, wywierają na widza efekt wprost przeciwny od zamierzonego przez autora. Mimo tych wad dzieło p. Lomon przez inteligentnych widzów musi być dobrze przyjęte choćby tylko dla prawdziwie poetycznego polotu, tak rzadkiego u nowożytnych dramaturgów, świetnej dykcji i poczciwej tendencji. Przekład dokonany przez p. Duchyńską, roztacza przed nami wszystkie skarby języka, którym ta poetka tak wybornie włada. P. Woleński do roli tytułowej posiada wszystkie zewnętrzne warunki: niestety, nie umiał ich użyć w należyty sposób. Artysta ten niedość że włada wyborem, rozległym i silnym głosem, zawsze go nadużywa, przesadza przy tem w mimice, którą rzadko kiedy umie zastosować do tego, co mówi. Radziłbyśmy p. W., aby mniej gonił za zwodnymi efektami, a głównie starał się o prawdę w grze i dobre pojęcie intencji autora. Talent pani Ładnowskiej ciągle robi postępy, potrzeba jednak jeszcze więcej pracy nad głosem, aby sympatyczna ta artystka mogła zająć wybitne stanowisko między nielicznymi artystkami dramatycznymi. B. Cz.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

Miesiąc Kwiecień.

- *Baracz Sadok ks.* Pamiętnik szlachetnego Lędochowskich domu. Ska str. 220. Lwów 1879. zł. 1-70.
- *Beaumont (prince de).* Czarodziejskie baśnie dla młodego wieku, zebrała i przetłumaczyła K. Gościńska. Ska str. 183, z rycinami. Warszawa 1879. zł. 1-70.
- *Elementarz* z następującą po nim książką dla początkowego czytania, ułożony według najlepszych podręczników nowej nauki czytania, Ska str. 172. Wilno 1879. ct. 60.
- *Fedorowicz Wl.* Studja polityczne, historyczne i filozoficzne. Ska str. 301. Lwów 1879. zł. 2-50.
- *Felicjana.* Przekłady obcych poetów. Ska str. 155. Warszawa 1878. zł. 2-70.
- *Finkelhaus.* Bohater wieku (Lord Beaconsfield). Szkic z życia społeczno-politycznego Anglii. Ska str. 140. Warszawa 1879. ct. 85.
- *Franke Jan Nep.* Przyrządy naukowe i instrumenta muzyczne, grupa 29 na wystawie rolniczej i przemysłowej we Lwowie. Ska str. 16 i 3 tablice. Lwów 1879. ct. 40.
- *Daudet E.* Baronowa Miroel z francuskiego. Ska str. 144. Warszawa 1879. ct. 75.
- *Daudet E.* Na zgubnej drodze. Powieść z francuskiego. Ska str. 286. Warszawa 1879. zł. 1-25.
- *Goffart August.* O uprawie i zachowaniu kukurudzy oraz wszelkiej zielonej paszy. Tłumaczenie z francuskiego Ska str. 70. Poznań 1879. zł. 1-30.
- *Jarochowski K.* Obleżenie miasta Poznania przez Patkula, Epizod z kampanji roku 1704. Wydanie drugie, Poznań 1879. ct. 98.
- *Kownacka Józefa.* Zasady poprawnego pisanja w przykładach wyłożone. Ska str. 208. Warszawa 1879. Kartonowane zł. 1-10.

— *Kardee Allan*. Księga duchów, zawierająca zasady nauki duchowniczej, o naturze duchów i ich stosunku do ludzi, o prawach moralnych, o życiu doczesnem, o życiu przyszlęm i o przyszłości ludzkości, podług wiadomości udzielonych kilku pośrednikom przez duchy wyższe z 22 wydania francuskiego. Ska str. 463. Lwów 1879. zł. 3.

— *Kremer Józef*. Dzieła tom VII. Treść: Życie i prace Kremera. Podróż do Włoch. Ska str. 288. Warszawa 1879. Prenumerata na (10 tomów) zł. 20.

— *Kwiatkowski Wł.* Może krok naprzód w dziedzinie kosmicznej fizyki. Ska str. 15. Piotrków ct. 25.

— *Madeyski Edward*. O potrzebie zreformowania dotychczasowego szczepienia ochronnego od ospy z projektem powszechnego szczepienia wprost z krów. Ska str. 46 Lwów 1879. ct. 50.

— *Mohort Julian*. Listy do przyszłej narzeczonej. Wydanie drugie Ska. str. 64. Lwów 1879. ct. 50.

— *Na polu pracy*. I. O własnych siłach. Obrazek. Ska str. 73. Wilno 1878. ct. 50.

— *Ordon Wł.* Na strażnicy, scena dramatyczna. — *Loterja*. Ska str. 22. Warszawa 1879. ct. 25.

— *Pamiętniki Michała Zaleskiego*, Wojskiego wielkiego Księstwa litewskiego posła na sejm czceni. Ska str. 376. Poznań 1879. zł. 2-93.

— *Perska księga* na język polski przełożona od Imci pana Samuela Otwinowskiego nazwana Giulistan to jest ogród różany. Ska str. 285. Warszawa 1879. zł. 2-70.

— *Rocznik towarzystwa historyczno-literackiego* w Paryżu, Rok 1873—1878. 2 tomy Ska str. 419. 458. Poznań 1879. zł. 15-60.

— *Rosenthal A.* Paralysis progresiva. Krytyczny rozbiór psychiczny i nerwowy zaburzeń przy początkowym rozwoju porażenia postępującego. Ska str. 173. (z 4 ma tablicami chromolitografowanymi). Warszawa 1879. zł. 2.

— *Rożański ks. Feliks*. Izraelici, ich religja, obyczaje i zwyczaje. Wydanie drugie. 2 tomy Ska str. 309. 378. Lwów 1879. zł. 2.

— *Siedziba wodza legionów 1812*. Poemat. Str. 16. Poznań 1879. ct. 33.

— *Słomiński wdowiec*. Obrazki współczesne przez Autora „Kłopotów starego komendanta.“ Ska str. 156. 114. Lwów 1879. zł. 2-50.

— *Słowacki Juliusz*. Hugo powieść Krzyżacka. — *Mnich*, powieść wschodnia. — *Arab*. (Biblioteka Mrówki, tomik 76). 16ka str. 51. Lwów 1879. ct. 20.

— *Słowacki Juliusz*. Lambro, powstaniec grecki, powieść fantastyczna. (Biblioteka Mrówki tomik 75) 16ka str. 63. Lwów 1879. ct. 20.

— *Słowacki Juliusz*. Żmija, romans poetyczny z podań ukraińskich w 6. pieśniach. (Biblioteka Mrówki tomik 74) 16ka str. 72. Lwów 1879. ct. 20.

— *Słownik Polski* tomik III. zeszyt 2. (liczba porządkowa zeszytów 7. Biblioteka Mrówki, tomik 67) 16ka str. od 97 do 190. Lwów 1879. ct. 20. Na lepszym papierze ct. 30.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

* * * P. A. K. Kosiński wyszukał „Liber generationis“, która zawiera spis rodzin nieprawnie przywłaszczających sobie szlachectwo; ułożoną, zdaje się była przez Piotra Tarle, zmarłego w 1649 r. i zwała się Liber Chamorum, ulegając pilnemu niweczeniu przez interesowanych.

* * * Z drukarni Czerwińskiego w Warszawie wyjdzie „Monografia miasta Sandomierza.“

* * * „O wychowaniu moralnem, umysłowem i fizycznym“ Spencera, w przekładzie Mich. Siemiradzkiego. wyszło w Warszawie.

* * * Skutkiem pozwolenia władzy uniwersyteckiej, studenci przystąpili do litografowania kursów: z takich wyszła fizyka, według wykładu prof. Dziewulskiego i chemja prof. Popowa.

* * * W. A. Maciejowski pracuje nad „Historją mieszczan.“

* * * Rękopisy Goethego. *Journal des Debats* donosi, że uniwersytet strasburski nabył w ostatnich czasach dla swojej biblioteki cztery zbiory rękopisów Goethego. Zbiory te, które należały do bar. Steina, zawierają obok wielu zajmujących dzieł, pewną ilość pieśni ludowych, które Goethe bawiąc w Strasburgu jako 22-letni młodzieniec ułożył.

* * * Na posiedzeniu Lwowskiego Tow. Lekarskiego (15 marca) Dr. Jasiński miał odczyt „Jakie leczenie suchot daje najpomyślniejsze rezultaty“.

* * * Towarzystwo Politechniczne Lwowskie tworzy zbiór kamieni, które się w Galicji znajdują i bywają używane do budowy.

* * * Na posiedzeniu Tow. Politech. Lwowskiego (22 marca) Dr. Zacharjewicz czytał „O budowlach lwowskich“, p. Walter czytał „O geologicznym układzie Karpat i o nafcie.“

* * * *Henryk Sienkiewicz* napisał nową powieść na tle stosunków Amerykańskich. Powieść ta będzie drukowaną jednocześnie w jednym z czasopism codziennych Warszawskich i w *Tygodniu Polskim* we Lwowie.

* * * Od 1. Lutego r. b ukazało się w Warszawie nowe czasopismo p. t. *Inżynierja i Budownictwo* cywilne. przemysłowe i rolnicze. Wychodzi zeszytami 2 razy na miesiąc lgo i 15go pod redakcją budowniczego p. Stefana Grzymańskiego.

* * * Liszt napisał wspaniałe oratorjum p. t. *Św. Stanisław*, z kolorytem polskich motywów, do którego tekst włoski jest utworem Lenartowicza. W tych dniach pomienione dzieło wykonane będzie po raz pierwszy w Rzymie.

* * * *Katedry historii i literatury polskiej* mają być zaprowadzone na niektórych uniwersytetach włoskich. Inicytywę w tym kierunku dał uniwersytet w Bononji, gdzie dnia 18 z. m. odbyło się zebranie reprezentantów wszechnie włoskich. Zebranie miało na celu utworzenie Towarzystwa, któreby się zajęło wprowadzeniem w życie projektu.

* * * Michał Glücksberg ukończył już swoje wydawnictwo: *Galerje włoskie*, 141 obrazów w kopjach na stali, z dodaniem rysu dziejów sztuki włoskiej w trzech tomach.

* * * Autor Peterson, uczony angielski, wydał rozprawę „o pierwotnych stosunkach Słowian z królestwem węgierskim“, przedmiot oparty na historycznych źródłach, i dla nas obojętnym być nie może, gdyż autor czerpie swe wiadomości i z kronik polskich.

* * * Oświata w Japonji. Szkół elementarnych w Japonji liczono w roku 1876 około 25.000, w których uczyło 52.000 nauczycieli. Liczba uczniów wynosiła przeszło dwa miliony, tak że na jednego nauczyciela wypadało około 40. Ponieważ liczba mieszkańców Japonji wynosi przeszło 30 milionów, okazuje się, że na 16 ludzi był jeden uczeń. W 92 szkołach japońskich uczono obcych języków. Nauczycielki japońskie kształcą się w dwóch osobnych kolegiach.

Kongres literacki w Londynie.

* * * Kongres powszechny literatów w Londynie ma się otworzyć w dniu 9 czerwca r. b.

Głównym przedmiotem rozpraw będzie prawo własności literackiej i obmyślenie dalszych środków, mających zapewnić wprowadzenie w działanie tego prawa, oraz polepszyć w ogóle położenie literatów pod względem materjalnym.

Przygotowaniami do kongresu zająć się ma komitet, złożony z najznakomitszych literatów angielskich pod prezydencją p. Blanchard Jerolda. Komitet starać się będzie, ażeby kongres odbył się w sposób jak najbardziej uroczysty. Lord kanclerz i wielu innych dygnitarzy angielskich i zagranicznych przyrzekli swój współdział.

Posiedzeń będzie cztery, na których, oprócz ogólnych kwestyj, odczytane zostaną sprawozdania o stanie rozmaitych literatur świata cywilizowanego.

Posiedzenia będą się odbywać publicznie. Język francuski pozostanie językiem urzędowym tak kongresu londyńskiego jak i innych, jakie w dalszym czasie zwołane będą; wszystkie ważniejsze komunikaty oraz postanowienia kongresu mają być natychmiast ogłoszone drukiem i rozdane pomiędzy członków kongresu.

Przed rozpoczęciem posiedzeń publicznych od-

będzie się kilka przygotowawczych prywatnych posiedzeń.

Komitet egzekucyjny czyni starania o możliwe umniejszenie dla członków kongresu kosztów podróży i pobytu w Londynie.

Starania te w znacznej części pomyslnym już uwieńczone zostały skutkiem; oprócz zaproszeń urzędowych, jakie przez komitet przesłane zostaną, zaproszone są do wzięcia udziału w kongresie i osoby niepomieszczone na liście.

Sztuki piękne.

* * * Na krakowską wystawę sztuk pięknych przybyły: Eliasza „Politycy“, Kochanowskiego „Przed wieczorem“, Steckiego „Krajobraz z nad Wisły“, Józefy Gepertówny „Sąd Parysa“ (kopja z Rubensa).

* * * We Lwowie otwarto dla publicznego użytku zbiór rycin, będący własnością zakładu Ossolińskich.

* * * Po zmarłym w Paryżu Antonim Oleszczyńskim pozostał zbiór, który obejmował prawie komplet prac jego ryłca w ogólnej liczbie blisko 1000 sztuk.

* * * Młody malarz Merwarth, rodem z Galicji, bawiący obecnie w Paryżu, zasila swymi szkicami Monde Meytré.

* * * Na Wystawie Zachęty p. Kucharzewski wystawił model w 1/3 wielkości na fronton Giełdy Warszawskiej, a p. H. Marczewski płaskorzeźbę: portret M. Dering.

* * * P. Marja Łubińska dla upiększenia Galerii Sztuk Pięknych w Warszawie, obowiązała się wykonać okno na szkło.

* * * Viceprezesem Tow. Zach. Szt. Pięknych w Warszawie został p. F. Sobański.

* * * Henryk Siemiradzki mianowany został honorowym członkiem sztokholmskiej akademji sztuk pięknych.

* * * W Warszawie przedstawioną została komedja Jordana „Na trakcie“, a ma być przedstawiony „Kłopot dziadunia“.

* * * P. Reszke zaangażowano do Madrytu na trzy miesiące z płacą 17,000 fr. miesięcznie.

Stowarzyszenia.

* *Sprawozdanie z czynności i stanu Towarzystwa Politechników polskich w Monachium, za zimowe półrocze 1878/9 roku.*

Towarzystwo Politechników polskich, zawiązane w Monachium w 1874 roku, w celu wzajemnego niesienia sobie pomocy naukowej i wspierania się nadal, jako już ludzi fachowych, na początku ubiegłego półrocza, liczyło członków zwyczajnych 6, honorowych 16.

W ciągu półrocza przybyło członków zwyczajnych 2, a wystąpił 1; za niewypełnianie zaś obowiązków wykreślonym z Towarzystwa został członek honorowy 1; tak, że obecnie Towarzystwo liczy obecnie członków zwyczajnych 7. (Inż. 3, chem. 4) i honorowych 15. (Inż. 9, mech 2, chem. 3 i arch 1).

Towarzystwo odbyło posiedzeń miesięcznych 5, na których, oprócz załatwiania niezbędnych spraw administracyjnych Towarzystwa, był jeden odczyt treści fachowej, technicznej „o tunelu podmorskim między Francją i Anglją“. Zresztą działalność Towarzystwa ograniczała się na powiększaniu, o ile możliwości biblioteki i na urządzaniu tygodniowych zebrań członków w lokalu Towarzystwa dla wspólnych pogawędek naukowej lub społecznej treści.

Biblioteka Towarzystwa częścią z zakupna, częścią z darów członków, powiększyła się w ubiegłym półroczu o 35 tomów i zawiera obecnie w sobie ogółem 506 tomów, z których na dział czysto techniczny przypada 164 tomy, na dział ogólny 240 tomów i na dział trzeci 102 broszury.

W czytelnicy przy bibliotece Towarzystwo miało czasopism 7 (1. „Allgemeine Bauzeitung z Wiednia, 2. „Biesiadę literacką“ z Warszawy, 3. „Dziennik Poznański“ z Poznania, 4. „Gazetę Polską“ z Warszawy, 5. „Przegląd techniczny“ z Warszawy, 6. „Tydzień polski“ ze Lwowa i 7. „Tygodnik Powieści“ z Poznania.)

Księga kasowa wykazuje następujące pozycje:
Remanent z przeszłego półrocza . 125 m. 52 fen.
Przychód w ciągu półrocza . 75 „ — „
Suma . 200 „ 52 „

Rozchód w ciągu półroczu	84	77
Pozostaje remanentem w kasie	115	75
Zaległości od członków honorowych	974	30

Kończąc niniejsze sprawozdanie, składamy serdeczne podziękowanie Szanownym Redakcyom za udzielanie nam czasopism na dostępnych warunkach, jak również tym wszystkim, którzy darami swemi przyczynili się do wzbogacenia biblioteki Towarzystwa. — W imieniu Towarzystwa

Zarząd.

Monachium dnia 1. Kwietnia 1879.

** Dyrekcja Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie ogłasza niniejszem sprawozdanie z odbytego w dniu 25. marca b. r. walnego zgromadzenia członków tegoż towarzystwa.

Obecnych członków 34. Przewodniczący: Prezes Tow. hrabia Leszek Dunin Borkowski. Przewodniczący zagał posiedzenie mową, która (zgodnie z uchwałą dyrekcji) podana będzie do wiadomości członków i kółek szerszych, w drukowanym sprawozdaniu Towarzystwa za rok 1878.

Sekretarz Towarzystwa odczytał protokół walnego zgromadzenia, odbytego w dniu 31. grudnia 1871 r., a członek dyrekcji p. Józef Grelński sprawozdanie za rok 1878, które przyjęto bez uwag do wiadomości.

Członek komisji lustracyjnej p. Apolinary Koperłyński zdał sprawę imieniem tejsze z ruchu akcji w ubiegłych dwu latach, jakoteż z prowadzenia rachunków, które znalazła komisja w zupełnym porządku. Na wniosek przeto komisji lustracyjnej udziela walne zgromadzenie absolutorjum dyrekcji za lat 2 1/2 t. j. za czas od 1. lipca 1876 do 31. grudnia 1878 r.

W końcu przedsięwzięto wybory do dyrekcji i komisji lustracyjnej, których wynik był następujący:

W miejsce z kolei występujących dwóch dyrektorów pp. Grelńskiego i Kozieradzkiego wybrano 31 głosami na 33 głosujących p. Grelńskiego na powrót, zaś 19 głosami na 28 głosujących (przy powtórnym głosowaniu) p. Karola Młodnickiego; — w miejsce ustępującego zastępcy dyrektora p. Dawida Abrahamowicza wybrano 28 głosami na 23 głosujących p. dr. Piotra Dobrzańskiego; — do komisji lustracyjnej wybrano jednogłośnie (na wniosek p. Włodzimierza Buynowskiego) członków zeszłorocznych pp. Antoniego Bogdanowicza, dr. Jana Frieda, Augusta Gomolińskiego, Juliana Horoszkiewicza, Dymitra Koczyndyka i Apolinarego Koperłyńskiego.

Wiadomości społeczne, przemysł i handel.

** Istniejące we Lwowie szkoły przemysłowe i hadlowe, miasto proponuje zwinąć i zorganizować jedną szkołę rzemieślniczą.

** We wsi Żdzanne w pow. krasnostawskim założono sklep dla włościan z produktami, a obecnie zakładają takiż we wsi Białopolu, pow. Hrubieszowskim i Skordejewie, pow. chełmskim.

** Z inicjatywy p. Blocha, starszego zgromadzenia kupieckiego w Warszawie, ma być założone biuro statystyczne oraz biblioteka dzieł i podręczników, odnoszących się do handlu i przemysłu, na urzeczywistnienie tego celu p. Jan Bloch ofiarował część swej biblioteki prywatnej, trzy tysiące rubli jednorazowo i tysiąc rubli rocznie przez przeciąg lat trzech. Stosowną komisję do opracowania ustawy wybrano.

** Stowarzyszenie ślusarzy warszawskich liczy 19 członków i miało obrotu gotówki w sklepie 38.235 złr., osiągnęło zbiorowego zysku 250 rubli.

** Bracia Günsberg w Częstochowie zakładają dużą przedziałnię.

** Tow. Ochotniczej straży pożarnej lwowskiej pożarnej odbyło 10. rocznicę istnienia i przez ten czas liczyło przechodnio 1000 członków. Było czynne przy 60 pożarach. Posiada kapitału żelaznego 3 534 złr.

** Kuchnie ludowe we Lwowie coraz bardziej zmniejszają zakres działania: objadów wydają przeciętnie 137 dziennie, za co wraz z subwencją i składkami otrzymano w ciągu roku 6,744 złr., wydatki 6,738 złr., stan towarzystwa pomyślny.

** Rada miejska w Preston. w Anglii, ułożyła plan wielkiej biblioteki ludowej. Koszta budowli mają

wynosić 50,000 funt. szterl.; na pierwsze zakupy przeznaczono 10,000 i na dalsze uposażenie również 10,000 funt. szt. Na utrzymanie biblioteki miasto będzie płaciło 1,200 f. szt. rocznie.

Wiadomości przyrodnicze i podróże.

** Mackenzie, znany badacz Afryki Zachodniej, w d. 13 lutego r. b. na pokładzie parostatku Corsair udał się w podróż do przylądka Cap-Duby na półn.-zach. pobrzeżu Afryki.

** Celem nagromadzenia obszernych materiałów dla narodoznawstwa, Dr. Pechel Loesche zamierza osobom wykształconym wszelkich narodowości, pozostającym w stosunkach z obcymi ludami i plemionami rozesłać arkusze obejmujące zapytania w języku niemieckim i angielskim, do zapełnienia odpowiedziami.

** Warszawie przybyła nowa fabryka zapalek. Mieści się ona na Pradze w jednym z domów przy ulicy Wołowej; założycielami i właścicielami są pp. Domański i Jarkowski. Przyrządy i warstwy pomysłu p. Jarkowskiego, wyrobione zostały na miejscu z materiałów krajowych. Dotąd fabryka wyrabia wyłącznie zapalki szwedzkie, zapalające się o stosownie przyrządzoną powierzchnię, prztem zaznaczyć należy, iż nie mieszczą się one w pudełkach, lecz tworzą rodzaj słupka, na podstawie którego są osadzone; masa znajduje się pod spodem słupka i o nią pociera się odrywane zapalki. Nowości tej należy wróżyć powodzenie.

** Fabryka kopert J. Lewińskiego w Warszawie, nagrodzona medalem na ostatniej wystawie powszechnej paryskiej, otrzymała od akademii narodowej rolnictwa i przemysłu w Paryżu za wyroby swoje, medal drugiej klasy.

** W czerwcu r. b. odbędzie się w Londynie międzynarodowa wystawa bydła. Podobno konie z Mazur pruskich i litewskie znajdują się tam w wielkiej liczbie. Ma to na celu wprowadzenie ponownie na targ świata koni litewskich (trakeńskich), które dla częstego zakazu wywożenia ich za granicę Niemiec poszły prawie w niepamięć.

Szkoły.

** Szkoła budownictwa w Łodzi uległa w ubiegłym 1877—1878 r. pewnym dość ważnym zmianom. Uznano ją za publiczny zakład naukowy, do którego wstępować mogą ci, co pokończyli gimnazja, szkoły realne i inne odpowiednie średnie zakłady naukowe. Za prawo słuchania wykładów szkoła pobiera półrocznie 25 rs. W szkole jest 58 stypendjów. Kto skończył rzeczoną szkołę, ma prawo wykonywać roboty prywatne budowlane i drożne. Zdający egzamin z odznaczeniem zyskują tytuł „inżyniera cywilnego“ i mają prawo do noszenia ustawionej w tym celu osobnej odznaki. Główne przedmioty nauki w łódzkiej szkole budownictwa stanowią: matematyka, budownictwo, inżynierja i mechanika; oprócz tego wykładane są tam języki: angielski, francuski i niemiecki. Ciału nauczycielskie składa się z 3 zwyczajnych i 3 nadzwyczajnych profesorów, oraz 28 docentów.

Nekrologja.

** Jan Münheimer, medalier i rytownik, wydawca od 1 kwietnia 1861 r. Przyjaciela dzieci, właściciel pierwszego w Warszawie drzeworytniczego zakładu, wykształcony w Paryżu um. w Warszawie w końcu marca.

** Drzewiecki Karol, żołnierz poeta, pisarz, autor obrazu dramatycznego „Jeremi Wiszniowiecki“, oraz komedji, wydaniem których u Żupańskiego obecnie zajmuje się J. I. Kraszewski um. w Kunce, pow. Heisynskim, 30 marca.

ROZMAITOŚCI.

** Ks. Hohenloe, ambasador niemiecki w Paryżu, dał w d. 19 z m. bal, mający pozór czysto republikański. Wszyscy dygnitarze państwa, jakoteż najznakomitsi dyplomaci zagraniczni, ukazali się bez orderów. Lokaje i cała w ogóle służba musiała nateżać uwagę, ażeby nie popełniać błędów obrażających prawa etykiety.

Gdyby tak tu, w Austrii ustąpiła moda nosze-

nia na balach i recepcjach ozdób w dziurkach od guzików, gdzież znalazłaby się sposobność blyszczania w tak piękny sposób.

** Zabawna historyjka wydarzyła się w tych dniach na jednej z dróg żelaznych.

Było to o północy...

Podróźni spali snem sprawiedliwych.

Nagle rozlega się przerażające wołanie o pomoc, zdolne uawet umarłych poruszyć w grobie!

Wszyscy budzą się w tej chwili; zjawia się też konduktor..

Przerażona dama oświadcza, iż czuje na całym ciele dotkliwe klucie jakby szpilkami...

Położenie tem kłopotliwsze, iż cierpiąca niewiasta ani usłyszeć chce o poszukiwaniu...

Już konduktor ma dać znak do zatrzymania pociągu, gdy w drugim końcu wagonu okrągłutki jegomość podobnie zaczyna nawoływać, z czego tworzy się rozpaczliwy duet.

Po ścisłem obejrzeniu tłuszciocha, znaleziono sześć olbrzymich pijawek.

Rzecz się wyjaśniła.

Pijawki dostały się na wolność z źle zamkniętego naczynia szklanego...

Dama mdleje — szczęściem pociąg zbliża się do stacji.

Mimo że ją uwolniono od niemiłej wizyty, przestraszona pasażerka nie przychodziła do zmysłów i musiano przywołać lekarza stacyjnego.

Lekarz, któremu nieznaną była przyczyna omdlenia, zaordynował... pijawki!

MŁODA WDOWA.

(Humoreska z angielskiego).

Są to dzieje dicker'a Brantip'a.

Cóż to za zagadka? zapytacie.

Troszeczkę cierpliwości, mój łaskawy czytelniku i piękna czytelniczko; dowiecie się zaraz.

Brantip, jestto człowiek — a dicker znaczy dziesięć tuzinów rękawiczek kozłowych.

Nazwa ta używa się w Anglii szczególnie wtedy, gdy chodzi o rękawiczki.

Brantip ma sklep w Barchester, mieście znanem doskonale przez zwolenników powieści Antoniego Trollopa. Zwolennicy owi wiedzą dobrze, iż tam się znajduje prześliczna katedra.

Brantip zajmuje się przeważnie krawiectwem, ale ma przytem skład sukna i sklep galant-ryjny.

Dostojnicy kleru angielskiego znajdują u pana Brantipa wszystko czego im trzeba, począwszy od togi aż do kapelusza, rękawiczek i łaski, nie zaszycia on wszakże swemi względami organistów i pedelów...

Podobnie jak modniarki angielskie jeżdżą rok rocznie do Paryża studjować mody i przepych w magazynie Wortha — pan Brantip odbywa co kwartał wycieczki do Londynu, w celu zaopatrzenia się w najświeższe artykuły mody, służące do użytku największych elegantów barchesterskich.

W czasie jednej z takich wycieczek obstałował on cały dicker rękawiczek kozłowych, zabarwionych farbą arzenkową, przypominających pierwsze kiełki szczodrzenicy, albo świeże strączki zielonego groszku.

Czy oko Brantipa, znudzone czarnym kolorem, potrzeboowało tego rodzaju odpoczynku? Zapewne. Taki bunt bowiem przeciw codziennej rutynie zdarza się nieraz. Widziano przecie artystów skończonych, którzy znużeni właściwym sobie rodzajem, przerzucali się do innego; widziano malarzy ubiegających się o sławę mistrzów dła i vice versa; widziano aktorów komicznych, którzy mówili w siebie, że mają prawdziwe zdolności do odgrywania roli Hamleta. I stało się, że bujna wyobraźnia Brantipa obudziła w nim pociąg do kolorów...

Byłby dał niewiem co za to, gdyby mógł być dostarczać i mundurów dla garnizonu w Whitepark, mieście sąsiadującym z Barchester, a skoro mu się zdarzyło czasem zrobić strój myśliwski dla jakiegoś magnata z okolicy, to musiał go koniecznie przymierzyć, poczem wywiesił za oknem i wychodzi co pięć minut, aby go podziwiać i podziwiać bez końca.

Wybór jednak tego koloru na rękawiczki był niestety nader niefortunnym!

Dni upływały jeden za drugim, a rękawiczki leżały nietknięte

I nie dziwnego. Klientelę pana Brantipa tworzyło przeważnie duchowieństwo, a wiadomo, że dla pastora angikańskiego najwłaściwszym kolorem jest czarny, lub szaro-lawendowy. Z drugiej znów strony, w czasie gdy Brantip zaopatrywał się w ten nieszczęśliwy nabytek, dzienniki pełne były groźnych wykrzykników przeciw farbie arsenikowej. Mówiono, że kolor ten źle oddziałuje na zdrowie i sieje zarody śmierci w fabrykach gdzie go wyrabiają.

Nic dziwnego, że te filantropijne względy źle usposobiły publiczność do tej barwy.

Brantip, nadto rozsądny na to, aby walczyć z opinią ogółu, zrezygnował na razie z nadziei zbycia tego towaru, postanawiając sobie wetknąć go, skoro burza przemienie, naiwnym mieszkańcom na jakie huczne miejskie wesele.

Próżne nadzieje! burza ta przeszła, a rękawiczki jak leżały, tak leżały.

Brantip odłożył je do osobnego pudełka, umieścił je na najwyższej pulce i dał za wygraną.

I owe nieszczęśliwe rękawiczki byłyby tam wiecznie leżały, gdyby pomocnik p. Brantipa, Chopman, nie był chciał rywalizować ze swym pryncypałem, otwierając sklep na swoją rękę.

Najął on w tym celu magazyn na sąsiedniej ulicy, kupił sobie miarę safianową i parę nożyce krawieckich, zawiesił w oknie kilka tablic z dziennika mód i porozysłał mnóstwo ogłoszeń do klientów p. Brantipa. Czy to nieszlachetne przedsięwzięcie udało się panu Chopmanowi? Chodzą wieści, iż pierwszym klientem, który się doń zgłosił, było bardzo wysokie i otyłe indywiduum — kolosalne indywiduum, na którego ubranie wyszło dwa razy tyle materiału co dla zwyczajnego człowieka — i wskutek czego nowy krawiec bardzo mało zyskał na tym obstackunku.

Ale to nie należy do rzeczy.

Wspomnieliśmy o Chopmanie dlatego tylko, żeby móżdż powiedzieć, że miejsce jego w magazynie pana Brantipa zajął niejaki Chequitte.

Był to irlandczyk, który mieszkał długo w Ameryce, gdzie się stał stronnikiem fenjanizmu, poczem zmienił nazwisko swe rodowe Mulligan O'Gorman na Chequitte. Do chytrności, jaką już przyniósł z sobą na świat, przyłączyły się jeszcze w czasie pobytu jego w Ameryce: praktyczność, przenikliwość i genialny zmysł kupiecki.

Pewnego dnia spsując razem z Brantipem inwentarz towarów, znalazł on owe dziesięć tuzinów zielonych rękawiczek.

— A to co takiego? — zapytał zdziwiony — Czemuż one odłożone są na ostatnią półkę, jak gdyby nie były do sprzedania?

— Bo nikt ich kupić nie chce... — odparł Brantip smutnie.

— Co znowu? Ale, jeśli to prawda, to ja się podejmuję sprzedać ten wzgardzony towar, pod warunkiem, że mi pan odstąpisz pewien procent.

Umowa stanęła w jednej chwili. Chequitte chciał pięćdziesiąt od sta, a Brantip byłby mu dał i siedmiesiąt pięć, żeby się tylko pozbył tych nieszczęśliwych rękawiczek, o których i myśleć już nie mógł.

Chequitte nie mówił już o tej kwestji, ale przez trzy dni z rzędu, wieczorem, po zamknięciu sklepu, jeździł do Whiteport.

Czwartego dnia wszedł do pracowni Brantipa z numerem *Whiteport Observer'u*, dziennika bardzo rozpowszechnionego w Barchester i wręczył go pryncypałowi, zwracając jego uwagę na następujące ogłoszenie:

Związek małżeńskie. Młoda wdowa, dwudziesto-sześcioletnia, bezdzietna, a posiadająca znaczny majątek, znudzona samotnością, pragnie poślubić jakiego zanego człowieka, który się odznacza miłem i towarzyskiem usposobieniem. Kwestja materialna jest jej całkiem obojętna. Uprasza o zachowanie tajemnicy. Można się zgłaszać pod literami P. W. Trimmer's Post-Office, Fielding street, Whiteport.

Brantip, przeczytawszy powyższy ustęp, oddał pomocnikowi swemu dziennik ze zdziwieniem.

— Oto masz pan sposób pozbycia się rękawiczek — rzekł Chequitte. — Widzisz pan, nie ma jak ogłoszenia; bez ogłoszeń zastój w handlu, tak panie. To tak, jakbyś pan chciał, na przykład, wymyć słońca naparstkiem mydlin.

— Ależ ja nie widzę żadnego związku między tem ogłoszeniem a memi rękawiczkami — zauważył Brantip.

— Czekaj pan, a zobaczysz, że, dzięki tej wdowie, sprzedasz wszystkie rękawiczki co do jednej.

W następnym tygodniu, p. Chequitte przywiózł z Whiteport'u kilkanaście ogłoszeń sklepowych następującej treści:

Pp. Brantip i spółka otrzymali z Paryża najświeższy transport rękawiczek koźlowych w najmodniejszym kolorze zielonego groszku

używany obecnie przez wszystkich monarchów europejskich.

— To się na nic nie zda! — rzekł niewierny Brantip. — Na nie! To niepodobieństwo!

— Niepodobieństwo! ten wyraz nie mieści się w moim słowniku — odparł Chequitte. — Znasz pan przecie dzieje Mahomet'a i góry; o toż kiedy ręce nie szukają rękawiczek, to rękawiczki muszą szukać rąk. A teraz, posłuchaj mnie pan; podziel pan te rękawiczki na paczki, z których niechaj każda zawiera po trzy pary — i nie sprzedawaj ich osobno pod żadnym pozorem. Widzisz pan, o toż masz już pierwszego amatora co się dał złapać na wędkę.

W tejże chwili wszedł jakiś pastor o łagodnym obliczu i zażądał nieśmiało rękawiczek koloru zielonego groszku.

— Oto są — rzekł Chequitte, wyjmując towar z pudełka.

— Wiele się należy?

— Trzyście szylingów za paczkę zawierającą trzy pary.

— Ależ ja przecie jedną tylko na raz noszę; jedna mi wystarczy.

— My je sprzedajemy tylko po trzy razem; ta esmy je dostali z Paryża. Jest to zresztą największa nowość, której może już drugi raz nie uda nam się sprowadzić.

Brantip mamrotał coś pod nosem... Był przekonany, że pastor nawet przymierzyć ich nie zechce, gdy tymczasem ten ostani wyrzekł z głębokim westchnieniem:

— To już je wezmę, kiedy się inaczej nie sprzedają.

Powiedziawszy to, zapłacił i włożył do kieszeni te trzy brzydastwa.

Po jego wejściu zjawił się młody prokurator, niezmiernie żywy, wesoły i podrygujący; po nim zaś wszedł urzędnik z banku..

Z każdym też sama rozmowa i ten sam rezultat.

Gdyby kto chciał odmalować *Zdziwienie* w najwyższym znaczeniu tego słowa, powinienby był schwycić wyraz oblicza Brantipa, przypatrującego się temu, co się w sklepie jego działo.

Dziewięć par sprzedano w przeciągu godziny — a przez cały dzień kupujący snuli się jedni za drugimi. Istna procesja

— Co to znaczy? — szepnął Brantip tonem babufu.

— To owi „mona chowie europejscy“ wywierają takie wrażenie. Sprzedam panu całą partję przed sobotą.

Tak mówił Chequitte i dotrzymał słowa. W piątek wieczór już nie było ani jednej pary z tych dziesięciu tuzinów.

— A więc — rzekł Chequitte — dziesięć tuzinów po pięćdziesiąt dwa szylingi jeden, to czyni dwadzieścia ośm funtów szterlingów. Pan mi winienesz zatem czternaście funtów...

Brantip wypłacił mu żadaną sumę natychmiast.

— Ale ta wdowa — zapytał — jakąż ona rolę gra w tej całej sprawie?

— Zobaczysz ją pan jutro, o czwartej po południu, na placu przed katedrą, jeśli pan zechcesz tam pójść ze mną.

Plac katedralny, otoczony murem, był miejscem schadzek najznakomitszych obywateli barchester'skich. Wszyscy eleganci co umieją zachować szyk, i wszystkie elegantki ufne w moc swoich wdzięków, obierały zazwyczaj to miejsce na wieczorne przechadzki.

Skoro Brantip wraz ze swym pomocnikiem udał się tam naza utrż, oczom ich przedstawił się niezmiernie miły widok.

Kanonicy wyższego i niższego chóru paradowali tam w najświeższym ubraniu, pochodzącym z magazynu pana Brantipa. Obok nich snuli się cały rój pastorów. Oprócz duchownych była tam chimara świeckich elegan-

tów, doktorów, bankierów, prawników, a nawet wiejskich oby*ateli, podczas gdy przedstawicielki płci pięknej napływały ze skweru i z Wielkiej ulicy, wabione jakąś tajemną przynętą. Zdawało się, iż w powietrzu jest jakiś prąd nieprzeparty, goniący wszystkich w tę stronę.

Nigdy jeszcze w Barchester nie pamiętano takiej soboty. To pewna, że w owej chwili wszystkie cukiernie i kawiarnie, wszystkie bilardowe sale i inne miejsca, gdzie się zwykle młodzież zgromadzała, musiały stać pustkami.

— A teraz powiem [panu — rzekł Chequitte do swego pnyncypała — że piękna wdówka nazaczyła tu schadzke punkt o czwartej, każdemu kto się do niej zgłosił Wszystkim, a raczej każdemu z osobna, poleciła zachować to w największej tajemnicy. Oznaką porozumienia, czyli niemem hasłem, są (dzięki mojej radzie) koźłowe rękawiczki, koloru zielonego groszku, które wszyscy jej konkurenci (z których każdy myśli że jest sam jeden) mają okazać w oznaczonej godzinie. Oto już biją trzy kwandranse na czwartą. Zobaczysz pan swoje rękawiczki.

Chequitte, obdarzony zmysłem spostrzegawczym, zauważył, iż większa część mężczyzn była do tej chwili bez rękawiczek. Nadto panowało pomiędzy nimi dziwne jakieś zakłopotanie i pomieszanie.

Konkurenci owi, których było czterdziestu (bo tyleż paczek rękawiczek się rozeszło) zdawali się być w złym humorze. Każdy podejrzewał, że go ktoś szpieguje; unikał więc jeden drugiego i zwracał też badawcze spojrzenia ku zastępowi pan... Ani jeden nie rozmawiał z drugim, lecz przechadzał się sam, udając iż nie spostrzega znajomych.

Raz, dwa, trzy, cztery! Otóż i czwarta wybiła!

Czytelniku, czy pamiętasz co się dzieje na dworcu kolei, skoro uderzy dzwon, zwiastujący nadejście pociągu? Czyś uważał, jeśliś był kiedy na pierwszym przedstawieniu nowej opery, jak szybko i jednocześnie publiczność przerzuci kartki libretta? Otóż w ten to sposób, choć na mniejszą skalę, za czwartem uderzeniem zegaru, czterdziestu klientów Brantipa i Chequitte wyjęło jednocześnie z kieszeni zielone rękawiczki i usiłowało wsunąć na ręce wilgotne i nabrzmiałe od gorąca.

Ponieważ każdy z nich wstydył się tego jaskrawego i obrzydłego koloru, usuwał się zatem gdzieś na bok, aby je włożyć bez świadków. Po chwili plac katedralny zakwitnął majową zielenią jak w pierwszej wiosnie... Czterdzięści par zielonych rękawiczek Brantipa zajaśniało całym blaskiem...

Każdy konkurent tak był zajęty sam sobą, swojemi nadziejami, oczekiwaniem wdówki i tajemnicą, którą przyrzekł nieznamojem, iż w pierwszej chwili żaden nie spostrzegł trzydziestu dziewięciu par również zielonych jak jego własne rękawiczek... Zagapienie to wszakże (przepraszamy za ten wyraz) nie mogło trwać długo. Wnet każdy spostrzegł, że nie sam jest w oczekiwaniu a widząc w tem jakiś podstęp, jakąś zdradę, umknął, spuściwszy nos na kwintę. Kilku zaśledwie naiwnych elegantów pozostało, chcąc przecie pochwalić się rękawiczkami, używanymi, według ogłoszenia, „przez wszystkich monarchów europejskich“.

— I gdzież jest ta wdowa? — zapytał Brantip.

— Jako! — odparł Chequitte — pan jeszcześ nie zrozumiał?... Ta wdowa to, ja..

Treść Nr. 13.

<i>O powieści pisarstwie</i>	193
<i>Hania. Powieść przez Litwosa. (Dok.)</i>	194
<i>Wolność i państwo. Studium społeczne (c. d.)</i>	195
<i>Acanturnicza wyprawa do Chiry. Burnaby'ego kapitana gwardji królewskiej. (c. d.)</i>	196
<i>Magja i nauka. (c. d.)</i>	197
<i>Korespondencje. Poznań, p. Jeske Chońskiego</i>	199
<i>San Franciszko, p. Juliana Horaina</i>	200
<i>Z Wiktora Hugo. Z najnowszego poematu „La pitie suprême“ Napisal M. Rodoc.</i>	201
<i>Ukryte skarby, powieść Salvatora Farina, przekład A. Callier (c. d.)</i>	204
<i>Pismienictwo polskie: przez B. Cz.</i>	204
<i>Kronika tygodniowa.</i>	204
<i>Teatr. Przez B. Cz.</i>	205
<i>Bibliografja polska.</i>	205
<i>Wiadomości z kraju i ze świata.</i>	206
<i>Rozmaitości.</i>	207
<i>Młoda wdowa. Humoreska z angielskiego.</i>	207